



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

W wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebnera i Spół., kwartal. tal. pr. i sgr. 20.

SAMOUCTWO.

I.

Dola samouka; możliwość pożądanego skutku. — Próba przysięgi w pomoc tym, co by się chcieli kształcić sami w literaturze polskiej. — Znaczenie monografii w tym celu.

Cieżka jest dola samouka, ale też tyle człowiek umie, ile się *sam* nauczy. Wiele ten zyskuje na czasie, wiele sił zaoszczędza, kto ma dobrego mistrza w przedmiocie, którego się uczy, bo ułatwioną ma drogę po zawilanych manowcach wiedzy, bo wyjaśnioną ma każdą trudność nauki, bo rozwiązane ma wszelkie wątpliwości, jakie przy studiach budzą się w jego umyśle. A jeżeli ten mistrz w przedmiocie jest również i pedagogiem: jeżeli zna prawa duszy ludzkiej, jeżeli wie, ile przypada na jego udział, jako przewodnika, a ile należy zostawić własnej pracy wychowawca, aby w jego duszy odbył się proces przysięgi na własność wykładanej mu nauki — wtedy jest już nieoszacowanym skarbem, tak rzadko w życiu napotykanym.

Mieszkańcy miast niezawodnie mogą być pozbawieni takiej pomocy, przewodnictwa; mieszkańcy wsi — muszą najczęściej obywać się bez niego. Czyż jednak w takim nieszczęśliwym razie wypada już rzec się doskonalenia w jakiejś gałęzi wiedzy? Czy już należy wątpić, że bez umiejętnego przewodnika nie można dojść do rzetelnej znajomości danego przedmiotu? Bynajmniej! Mamy liczne przykłady, że samouctwo wydało nieraz daleko trwalsze owoce, aniżeli nauka odbywana pod nieustanną opieką; a pedagogia jasno udowodniła sobie, że samouctwo niezawodnie potysiąckroć jest korzystniejsze, niż

niepedagogiczne fałszywe nauczanie. Heż-to bowiem przykładów napotykamy, że uczący się pilnie, — żadnych lub nader małe korzyści z nauki odnosi? Pochodzić to może z różnych powodów, a między innemi najpospolitszy jest ten, że uczący się pamięcią zachwyci słowa swego mistrza lub książki, i narazie wydaje się sobie samemu i innym, jakoby coś umiał, gdy tymczasem, po upływie pewnego czasu, gdy ulotnią się z pamięci te słowa — pozostaje w umyśle tylko świadomość o tem, że się coś pamiętało, o czemś mówiło. Samouk rzadko znajduje się w tem położeniu: on — albo umie, albo nie umie. Przez jego duszę przejść musi cały proces uczenia się — i albo jego umysł przyswoi sobie prawdy, które zrozumiał, albo jeśli ich nie zrozumie, to nie zmusza się do utrwalenia ich w pamięci. Samouk tylko narazony jest na stratę czasu, na marny wyszukanie drogi do zdobycia wiedzy wiodące, na trudny samoistnego rozwikływania rzeczy mniej jasnych w nauce.

Pod tym ostatnim względem szczęśliwi są ci, co mają przewodników, bo w danym razie udać się do nich mogą z prośbą o wyjaśnienie wątpliwości. Ale czyż podobna przypuścić, aby każdy pracujący nad nauką nie mógł znaleźć w bliższym lub dalszym otoczeniu kogoś, co by mu chętnie z usługą pośpieszył?

Zwróciliśmy tu uwagę na tę okoliczność, bo uważamy ją za bardzo ważną i pragnęlibyśmy ośmielić każdego pracującego nad własnym wykształceniem, aby w razach wątpliwości, udawał się po poradę do kompetentnych; w przeciwnym razie, zniechęci się do dalszej pracy, gdyż wskutek nierozjaśnienia jakiego punktu — znaleźć może na swej drodze przeszkodę.

Nie tailśmy więc trudności samouctwa, chociaż do niego ośmielić, zachęcić pragniemy; powiemy nadto, że gdyby ono przedstawiało więcej nawet jeszcze trudności i mniejsze zapewniło pożytki — to przecież, kiedy nie ma

środka innego, któryby do zdobycia wiedzy prowadził, warto, abysmy mówili o niem, abysmy go próbowali, jeżeli tylko bywają przykłady, że wydaje owoce, — a niezawodnie przykłady tego istnieją.

Pełni też ufności w rezultaty, zastanowimy się nad kwestyą: jak radzić sobie winien ten, kto by się chciał samodzielnie kształcić w historii literatury ojczyznej, przypuszczając, że jeżeli nie cały kurs średniego zakładu naukowego, t. j. całe gimnazjum lub pensyą wyższą ukończył, to przynajmniej do czterech klas uczęszczał.

Historii literatury pojmować dzisiaj w odezwaniu od dziejów narodu, od dziejów ludzkości — nie podobna. Jest ona objawem uczuć, myśli i dążeń pewnego narodu, w całym przebiegu jego rozwoju: jest więc w związku z całymi jego dziejami, zależy od jego losów więcej lub mniej mu przyjaznych, zależy od wpływów obcych narodów, z którymi przedstawiciele literatury mieli styczność, zależy od stopnia cywilizacji tych narodów, które na nią wpływały. Bez znajomości zatem dziejów swego narodu, oraz dziejów obcych narodów i ich cywilizacji — o zrozumieniu historii literatury mowy być nie może. Kto więc w tym przedmiocie chce się kształcić, od obznajomienia się z historią krajową i powszechną zacząć powinien.

Gdy taką znajomość, chociażby w zakresie gimnazjalnym, posiadał — powinien przyjąć za przewodnika do historii literatury jeden z dobrych podręczników tego przedmiotu. Mimo to, że nie posiadamy podręcznika takiego, któremby nie zarzucić nie można, to przecież i te, które mamy — nader wielką mogą oddać przysługę.

Pomiędzy podręcznikami do historii literatury najbardziej używane są:

1. Rys dziejów literatury polskiej Ludwika Kondratowicza w opracowaniu Wojciecha Grochowskiego.

2. Historia literatury polskiej, potocznym sposobem opowiedziana, przez Jul. Bartoszewicza.

3. Zarys dziejów literatury polskiej dla użytku szkolnego, przez Adama Kuliczowskiego.

4. Kurs historii literatury polskiej, przez Władysława Nehringa.

5. Rys dziejów literatury polskiej, opracowany z notatek Alexandra Zdanowicza przez Leonarda Sowińskiego.

6. Historia literatury polskiej przez Włodzimierza Spasowicza.

Każdy z tych podręczników niezawodnie ma dobre strony, i ktoby chciał tylko pobieżnie nabrać pojęcia ogólnego o dziejach naszego piśmiennictwa—wyciągnie korzyści z każdego. Zauważyć wszakże wypada, że różnią się one między sobą wartością naukową, układem, większym lub mniejszym wyczerpaniem materii, oraz pewnym sposobem zapatrywania się, pewnymi zasadami, które, czy-to przy kształceniu młodzieży, czy-to przy pracy nad sobą—są niemałej wagi¹⁾.

Jeżeli jednak wolno nam zrobić wybór z tych podręczników—to przede wszystkim, dla praktycznych celów, jakie tu mamy na względzie, wskażemy głównie na dwa: Kuliczowskiego i Spasowicza. Obadwa one obejmują całość przedmiotu i z wielką starannością traktują najnowszy okres literatury. Pierwszy zalecamy głównie dla tych, którzy chcą swoim uczniom nieobznajomionym z przedmiotem dać coś do ręki, z czego-by przerabiane lekcje powtarzały; drugi dla tych, którzy sami się chcą gruntowniejsz kształcić w przedmiocie—pierwszy, jako jasny, dość dokładny i wprost z celem pedagogicznym dla średnich zakładów naukowych napisany; drugi—jako dzieło znakomitego, chociaż nie bez pewnych uprzedzeń, krytyka.

Książka Spasowicza może być przytem dobrym przewodnikiem dla samouka, głównie dlatego, że starannie cytuje monografie, artykuły, na których sam autor się opierał. Przez ten fakt ułatwia ona drogę, za rękę niemal prowadzi każdego, co po manowcach nauki sam jeden, bez przewodnika, kroczyć musi.

Ktoby najgłówniejszych przynajmniej pisarzy literatury polskiej przeczytał a przytem rozczytywał się w monografiach o każdym z nich, zakończył zaś swoje studia ogólnym obrazem, jaki w historii literatury znajduje—ten mógłby o sobie powiedzieć, że zrobił wszystko, co było w jego możliwości i że niewiele nieraz stoi niżej od tego, kto słuchał wykładów z katedry uniwersyteckiej.

Każda bowiem dobra monografia literacka stawia nam autora na tle dziejowym narodu, zagłębia się we wpływy, jakie na autora działały, wtajemnicza się w każdy odcień jego myśli: wygłasza teorie, czyli stawia kryterium, na którym autor opiera swoje sądy: monografia więc jest, jakby owym nauczycielem, który kategorycznie nas z przedmiotem obznajamia. Ze szczegółowych takich monografii układa się ogólny obraz epoki, czy-to działu pewnego literatury: taki ogólny obraz daje nam podręcznik, jeżeli sami wytworzyć-byśmy go nie mogli. Powiedziałem wyżej, iż do dokładnego obznajomienia się z literaturą, trzeba czytać dzieła samych pisarzy—i oczywiście jest to jeden z najgłówniejszych warunków, bo on treść samą rzeczy stanowi. Ale, gdybyśmy już, nie o wielu dziełach i autorach myśleli, lecz o najgłówniejszych dziełach najgłówniejszych autorów, to przy odczytywaniu monografii i krytycznego podręcznika—do nader wysokich rezultatów dojść-by można było.

Jedna tu wszakże smutna nasuwa się okoliczność, ta mianowicie, że, chcąc się spotkać z niejedną dobrą monografią, wszystkie niemal pisma peryodyczne mieć trzeba do rozporządzenia, i to nietylko te, co wychodzą, ale i te, które wychodzić już przestały. To prawda.—smutna prawda. Nie poradzimy na to wiele, powiemy tylko: że nie jest niepodobieństwem przecie dla tego, kto nie pożałuje trudów dla zdobycia wiedzy. Zwróćmy się też

1) Bliższa ocena podręczników, oraz innych prac odnoszących się do dziejów literatury, znajdzie miejsce przy zastanawianiu się nad sposobami obznajomienia się ze szczegółowymi okresami i rodzajami literatury.
(Przyp. Autora).

tylko do wydawców różnych książek popularyzujących wiedzę, z gorącą odezwą, aby nie dali tonąć w bezdnach zapomnienia monografiom: Chmielewskiego, Chlebowskiego, Tarnowskiego, Belcowskiego i t. d., i t. d. Wydania tanie np. podobnych monografii, obok tanich wydań pisarzy—byłyby doniosłego znaczenia w rozpowszechnieniu znajomości literatury. Powiemy nawet, że byłby to jedyny środek takiego rozpowszechnienia, i że bez niego—niewiele przychodzi pożytku z wydań samych autorów częstokroć. Kto np. zrozumie „Balladynę“ lub „Lillę Wenedę“ bez dokładnych objaśnień? A ileż jest takich utworów!

Na tem też kończę pierwszy mój artykuł z radami dla samouków. Droga, którą wskazałem, lekka nie jest, ale najpewniej do celu prowadzi. Zrobię też tutaj tylko jeszcze wzmiankę, że dla obznajomienia się z dawniejszymi pisarzami literatury polskiej niezmiernie ułatwioną mamy sposobność przez nader tanie wydawnictwo: „Biblioteki Polskiej“ Kazimierza Józefa Turowskiego, z nowszych zaś—także bardzo tanie wydawnictwo, w małych pojedynczych tomikach, „Mrówki“. Dodam jeszcze jako wskazówkę, gdyby ktoś, czy-to dla siebie, czy dla swego ucznia, chciał rodzaju wypisów z pisarzy polskich, dawniejszych i nowszych, gdzieby się przynajmniej z wyjątkami ich pism obznajomił, niemałą znajdzie pomoc w książkach następujących:

1. Historia literatury polskiej z wyjątkami z autorów, przez Kaź. Władysława Wójcickiego.

2. Wypisy polskie dla klas wyższych, przez Radę Szkolną we Lwowie wydane, w dwóch częściach, 4 tomy.

3. Przykłady do literatury polskiej Karola Mecherzyńskiego; ostatnie wydanie, w dwóch tomach.

4. Złota Przędza, wychodząca obecnie w Warszawie.

Zwróćę nakoniec uwagę czytelników na artykuł Ignacego Boczyńskiego, pomieszczony w „Przeglądzie Pedagogicznym“ w pierwszej połowie roku zeszłego—pod tytułem: „Wskazówki z metodyki nauczania języka ojczystego i literatury“.

W następnych artykułach postaram się szczegółowiej rozwinąć metodę, jakiej trzymać się powinien ten, kto się sam kształcić zechce w przedmiocie, o którym mowa. Obecnie—pragnąłem zaznaczyć tylko możliwość samopomocy w nauce literatury—i wskazać niezbędne do niej środki.

Floryan Jagowski.

KRÓL AGIS

DRAMAT HISTORYCZNY W 3-CH AKTACH

JULIUSZA SŁOWACKIEGO

Ze zbiorów rękopiśmiennych Biblioteki Ossolińskich

podał

Henryk Biegeleisen.

((Dalszy ciąg)).

*AKT II.

*SCENA I.

Chorus

Jako na tarczy Achilla
Malowidło Homerowe
Na srebro ogniem różowe, 1)
Tęczę żywota wybiegło: 2)

1) Po tym wierszu następuje:
„Wyszło pod Wulkana technieniem“.
2) „Żywota wybiegło—żywota wytryska...“
„Jak po deszczu się wychyla Mnóstwo kwiatów nad strumieniem: Podobnie...“

Podobnie ta spartańska, jasna życia chwila
Zda się cudem...

Tam łakę widzicie rozległą,
Gdzie lud, lasów laurowych i kościoła blizki.
Probuje sił; tam grzmiące, 1) srebrne leca dyski.
Czasem który do gaju oliwnego wskoczy,
I tam, jak miesiąc srebrny 2) po ziemi się toczy 3),
W laury wpadnie i coraz wolniejszym obrotem,
Oświeca ciemnię krzewów, niby słońca złotem;
Nareszcie, zakreśliwszy koło już leniwe, 4)
Posagom u stóp kładzie swoje ognie żywe, 5)
Za nim młodzieńcy biegną, w las wilgotny, ciemny,
Gdzie chłód i odpoczynek znajdują przyjemny...

Tam pod świątyn kolumnami,
Zabędzie dziewic gromady
W siódemkach, jako Plejady
Z lutnią, albo z wrzecionami,
Obracają czarne oko
Na gładkie marmurów czoła;
Jak lilie rosną wysoko,
W górę—jak laurowe zioła.

Tam na łąkach, gdzie słońce ogniste dojrzewa, 6)
A pasterzowi w oczy patrzy pies rozumny...
Zabiełił się owcami cień każdego drzewa.
A girlandą jest owiec cień każdej kolumny.
A filozofy chodzą i oczyma mierzą:
Jak pięknymi te owce gromadkami leżą

Najgłodniejszej braknie zgrai:
Rycerskiej braknie młodzieży,
Która wojuje w Achai,
Z Agisem i z Kleombrotem.
Oto wódz Aratus leży
Pod purpurowym namiotem
I o spartańskich królach szumnych wieści słucha 7)

*Aratus

Mówicie, że Spartanie...

*Chorus

Strasznego nam ducha
Niosą. Pasterze biegną za nimi, jak owce;
Skały podnoszą ręce, dziwiąc się; grobowce,
Których pieśń jest od nimfy Echa pożyczona, 8)
Jeden tylko dziś mają głos: *Lacedemona!*
I to słowo śpiewają z smętkiem—i z uciechą.
Bo każdy siedm luteń ma, jak nimfa Echo.
A lutnie nakształt boskich rozstawione koni:
Ostatnia to powtarza, co pierwsza zadzwoni;
A choć najślabsza, zda się, że na morzu kona,
Jeszcze słyhać, gdy słuchasz: „*O, Lacedemona!*“
Gdzieś już na morzu niby, gdzieś już aż w Egei,
Ten głos jęczy i pełny jest wielkich nadziei,
Choć przez nimfę przeszłości tęsknej wymówiony.

*Aratus

Tu, przed godziną, smętnie pochylony,
Król w suplikanta żałośnym ubiorze,
Z córką, na której podarta tunika
Kawałki cierniom leśnym dać musiała,
Łzami wielkimi zalani oboje,
Przedemną, jako przed wodzem Achai,
Kłęczeli, prosząc przeciwko ojczyźnie
Greków pomocy. Ale ja, Aratus,
Który od pługa imię moje biorę,
A sławę moją ciężko wyorałem
I Aratusem po dwakroć zostałem:
Przez urodzenie i przez moje czyny,—
Ani litością dla młodej dziewczyny,
Ani zawiścią przeciw młodej sławie,
Nie dam się ruszyć, ani się postawię

1) „sil; miesięczne...“
2) „miesiąc po laurach“.
3) Następuje przekreślony wiersz:
„Przez chmury laurowego krzewu (drzewa) się przecina“.
4) „zakreśliwszy wielkie jasne koło“.
5) „kładzie ogniska słoneczne“.
6) „gdzie rzadko stare drzewa siedzą“.
7) „...królach, gniewy, słucha wieści“.
8) „Od nimfy Echa siedmiu luteń pożyczony“.

Przeciwno cnotie i sprawiedliwości.
Czekam więc królów, jako moich gości,
A sam zobaczę, czy je zwać królami.
(*Wchodzi Agis z Kleombrotem*).
Cóż to za ludzie?

*SCENA II.

*Agis

Weszliśmy tu sami.

Aratus

Pastuchy jakie, którym wzięto trzody!
Piękną ma postać ten chłop jasny, młody,
Okryty skórą zwierza—z piersią gołą,
Który hełm sobie mosiężny na czoło
Włożył—zapewne znaleziony w lesie
Dar Dyanniany.

*Agis

Pozdrowienie niesie
Aratusowi król Sparty.

*Aratus

A gdzie on?

Czyś gdzie uciekał przed nim, jak Akteon
Przed psami, żeś tu stanął tak spalony?...

*Agis

Jam jest król Sparty!

*Aratus

Ty?

*Agis

Ja!

*Aratus

A Lakony?

*Agis

Lakony moje są jak dzikie woły:
Przestraszyła je namiotu purpura,
Brzęk instrumentów i słońce pełna chmura,
Leżąca tutaj między leśne gaje; 1)
Stanęli, mówię tobie, jak buhaje,
Patrzą i twarde wprzód spuścili rogi, 2)
A ja sam pastuch—król—tu

*Aratus

Dać mu czarę!

*Agis

Nie jestem wcale głodny, choć ubogi.

*Aratus

Siadaj. Od słońca ludziom ta kotara....
Zaprawdę, godne tego są achajskie oczy,
A nawet Bóg Apollo promienisty godzien
Oglądać taką postać. O! Achajscy mężel
Oto jednak świata, Król Spartański, mówię,
Jedynak tego świata, bo choć dwaj są króle,
To oba jak bliźnięta w jeden posąg złoty,
W pitagorejską jedność przez boskość 3) pro-

stoty,
W podobieństwo przelani, jeden posąg czynią; 4)
A ta godność 5) jest taką chodzącą świątynią,
I takie ma wśród Greków, jak wiecie, uczczenie,
Dziwne jakieś, przez duchy dane, namaszczenie!
Zdarzyło się, że żołnierz śród bojowej burzy,
Kiedy się wiatr dzidami srebrnymi zachmurzy,
A ta się postać króla nagle przed nim zjawi,
Zamiast iść naprzód, tarczę przed sobą postawi,

- 1) „Tutaj, w rozkosznej dolinie“.
- 2) „Spuściwszy twarde rogi, jak do kłócia“.
- 3) „...jedność a boskość“.
- 4) „Podobieństwem złani są w jednego mocarza“.
- 5) „A wiecie, jako Greci ta godność przeraża“.

A sam odwróci twarzy i zgięty na stronę,
Jak drzewo gradobiciem odwiane, schylone,
Na ramiona przyjmuje wszelki grad i czeka,
By nie uderzył w króle Sparty, jak w czoło-
[wieka. 1)

A ci królowie.... królowie ci nigdy nie giną;
Ja sam pamiętam, kiedym był dzieciną, 2)
Wielkości żadnej ludzkiej nie świadomy,
Nieraz wielkiego doznawałem strachu,
Tę świętość marząc, straszniejszą nad gromy,
Nad błyskawice: i oto dziś stary,
Kiedy już myślom ognia i zapachu
Braknie, oglądam twarz dziecinnej mary,
Którą Bóg—myśląc że się, stary, zlekne—
Ubrał w oblicze proste, ciche, piękne, 3)
I przyprowadził mi tu, jak pastucha,

Abym nie odszedł z ziemi bez wspomnienia. 4)
Jak Her Armeńczyk, mając mego ducha,
Uwolnionego, jeśli wolno będzie
Brac nowe ciało, wyszedłszy z płomienia,
To muzykantom zostawię łabędzie,
A orle drugim, jako ja, 5) Aratom,
A ludziom ludzkie, a tyrańskie katom
Zostawię ciała z sercami tygrysa—
A sam zrzucony płaszcz z króla Agisa,—
Jeśli się Bogom podoba na niebie, 6)
Znów go urodzić—przywdzieję na siebie,
I między kształtów tysiącem wybiorę. 7)

*Agis

Chwalisz mię....

*Aratus

Tylko przed Grekami biorę
Krok jeden naprzód, a to mi wypada,
Bom wódz i wiek mam prawie twego dziada,
A więc jako dziad przeszłość w tobie dawną
[chwałę. 8)

*Agis

Nigdy nie sądził, że w takim zapale
Dla królów Sparty znajdę Grecyą całą.
Gdzieś siedł—to wioska lub miasto śpiewało;
Nad szmery leśne, nad strumienie skalne, 9)

1) Poprawiłem: „jak, w jak człowieka“. Druga wersja: „i czeka, Aż przyjdzie, a w spartańskiego króla nie śmie uderzyć“.

2) Wariant tego ustępu podaje w całości:
„Zaprawdę, godne tego ludzkie oczy,
„I nawet słońce, Bóg słoneczny godzien,
(słońce, oczy godne tego...)“

„Oglądać tego rycerza. O Grecy!
„Oto jest jedna z tych świętych postaci,
„Na której ducha leży namaszczenie,
„Oto jednak świata, Król Spartański,
„Bo chociaż dwaj są, to, jako bliźnięta,
„Przez podobieństwo cudowne prostoty
„Są jednym królem. A ta jedność taka
„Święta, jak wiecie, i przerażająca,
„Że ile razy z twarzą Sparty,
(Że pośród walki, gdy króla Spartański)
„Wiedli Grekowie walki nieśmiertelny,
(Grecy obacz...)“

„A zaburza to się dzidami pole,
(W burzy dzid...)“

„A w burzy się król spartański pokazał (stanął).“

„To wszelki żołnierz, choć strzałami kluty,
„Prze iw deszczowi nawet dzid idący,
„Wolał odwrócić głowę i za tarczę
„Brać cały boju grad, (niż oko w oko Spójrzeć królowi,
„albo na tę świętą choć wrogą postać) jak... deszczem,
„Schylone drzewo (niż odwetowaną Piersią Królowi Spar-

tańskiemu stanąć Na świętej drodze) niż człowiecza
[zdą]

„Uderzyć w króla Sparty jak w człowieka.“

„Ja sam dziecinnie chowany zdaleka...“

3) „Którą, zapewne myśląc, że się zleknie,
Bóg ubrał w proste oblicze i piękne.“

4) „Bez witania“.

5) „jakim“.

6) Pierwsza odmiana:

„Albo też drugi kształt ludzkiego ciała,
„Jeśli go przeszłość kiedy będzie miała,
„Pośród tysiąca postaci wybiorę“.

Druga odmiana:

„A sam zrzucony, o, ten płaszcz z Agisa
„Wzjęm na siebie. Weź moją purpurę.
„Rad jestem Grekom obóz mój oświecić“.

7) Następuje dwuwiersz przekreślony:

„Oto starzec wyleciał jako orzeł w górę,
„I duch nim piorunowy zaczął w chmurach kręcić“.

8) Poprawka tekstu nieczytelna.

9) „Jakoby echo rozbudzone skalne“.

Głośniejsze, lepsze 1)—muzyki choralne,
Wołając dawne, królewskie imiona.
A tu Aratus, do Agamemnona
Podobny, ligi wodzostwem i wiekiem,
Nazwał mię królem i zrobił człowiekiem. 2)

(Dalszy ciąg nastąpi)

KTÓŚ

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Jest dziecinny, jest płochy, potrzebuje lat, doświadczenia—może nawet przykrych i dotkliwych przejść, aby życie pojął poważnie i umiał je poprowadzić... Przypuśćmyż teraz, że taka istota powietrzna, równie obca światu i życiu—kwiatusek wiosenny, połączysz się z tym motylem, puści się na nieznane szlaki żywota! Chyba Opatrzność, jak nianka, musiałaby czuwać nad tem dwojgiem dzieci, aby swojego szczęścia nie zmarnowały—i nie zabłąkały się na bezdrożach...

Śluchając, panna Michalina bawiła się bukieciem, który trzymała w ręku.

— Pan jesteś pesymistą—rzekła—a dla mnie widok tej dobranej pary młodej tak jest miły, tak pachnie poezją i sielanką, że radabym, aby z marzenia przeszedł w rzeczywistość.

— I... skończył się—dodał Sylwan—jak poezja Heinego: słowem ironii i rozpacz. Obwiniasz mnie pani o pesymizm: niestety! uczy go życie, i uważam go za antidotum przeciwko wszystkim niespodziankom, które doprowadzają do rozpacz.

— Nie tolerujesz pan więc ani złudzeń, ani marzeń?—rzekła Misia—a jednak w życiu trochę poezji jest pociechą i osłodą...

Horpiński zamilkł. Oboje patrzali na Paczuskiego, który, zapomniawszy o całym świecie, stał przed Maniusią, pochylony, rozpromieniony i opowiadał jej coś wesoło, dziecinnie prawie, dopomagając sobie wyrazistymi poruszeniami, które zdawała obojętnym widzom wydawać się mogły nieco śmiesznymi.

Jak się to stało, że tegoż wieczora pan Sylwan Horpiński postarał się przedstawić pani i pannie Bydgoskiej—nie umiemy wytłómaczyć.

Nieźmiernie rzadko się to trafiało, by Horpiński sam nowych znajomości i stosunków szukał. Tym razem, zdaje się, iż kogoś prosił o zapoznanie go z panią, i znalazł do tego pretext w znajomości jakiegoś stryja jej, od kilku już lat zmarłego.

Pani Bydgoska, bardzo uprzejma dla wszystkich, widząc Horpińskiego dobrze przyjmowanym i położonym w towarzystwie, słysząc o nim same pochwały od gospodyni domu, ujęta miłą i dystygowaną powierzchownością—przyjęła go też bardzo mile. Panna dygnęła mu bojaźliwie jakoś, a stojący przy niej Paczuski trochę się zachmurzył, bo nie rad był tej znajomości.

Gdy po rozmowie z matką i zamianie słów kilku z Maniusią,—pan Sylwan się oddalił, Paczu-

1) „Wielkie i grzmiące muzyki...“

2) Zamiast ostatnich dziewięciu wierszy był pierwotnie następujący ustęp:

*Aratus

„Co chcesz podnieść. Ja tobie zapalę.
„Etolskie miasto, lecz teraz, Agisie,
„Wojnę pokojem skończyć zamysliłem,
„I rozwiać chmurę nad Grecyą zebraną“.

*Agis

„Co? Więć naprośnie Sparty-zwolane?
„Naprawdę nas wziął z gniazda, orły młode,
„Pozbawił miasto opieki...“

skiemu pilno było niezmiernie obwarować się od wpływu, jaki ta znajomość na panią Bydgoską wywrzeć mogła. Miał przeczucie, że Horpiński mógł mu szkodzić.

Obawa ta nie była wprawdzie na niczem ugruntowana—była instynktem raczej, niż wyrozumowanym wnioskiem; ale sam czując się względem Horpińskiego nie zbyt przyjaźnie usposobionym, lękał się Emil wzajemności, która w ludzkich stosunkach, jest prawie nieuchronną.

Dziwny to, ale tysiąckroć stwierdzony fenomen, że wrażenia i uczucia, jakie wywołują nowe znajomości, są niemal zawsze jednaki. Jeżeli ktoś w nas wstręt obudza, możemy być prawie pewni, że i my musimy mu być wstrętni; taksamo przyjazne usposobienie jest wzajemnem. Tych miłości, które są opłacane nienawiścią, o jakich prawią stare i nowe romanse—na świecie niema. Zmysłowe żądze mogą się obejść bez wzajemności, bo są czysto zwierzęce: tam gdzie dusza ma udział jakiś, prawa atrakcyi i odpychania nie cierpią wyjątku. Paczusi, raz wyrzuciwszy w sobie jakąś niechęć ku Horpińskiemu, mógł się więc instynktowo spodziewać, że mu ona równą zostanie opłacona.

Pani Bydgoska, którą z wieczora od Zawierskich odprowadzał do jej mieszkania, jak zwykle, zapylała go, naturalnie, o tę nową znajomość.

Emil nie chciał się zdradzić przed nią ze swym wstrętem i podejrzliwością przeciw Horpińskiemu; ale odpowiedź jego dawała do myślenia.

— Człowiek to bardzo miły, dobrze wychowany, przyjmowany wszędzie—rzekł, cedząc słowa rozważnie — ma tylko to jedno przeciw sobie, że właściwie nikt go nie zna, nikt nie o nim nie wie. Od bardzo dawna przebywa w Warszawie, umiał sobie zjednać wstęp wszędzie, nie mu zarzucić nie podobna... zdaje się majętnym; ale nikt nie wie, ani co on ma, ani z kąd pochodzi... ani czem się właściwie zajmuje.

— Pojmuje pani—dodał Paczusi—że człowiek, co tak starannie tai i pokrywa swą przeszłość—musi mieć do tego jakieś powody...

Zresztą, jak mówiłem, w towarzystwie bardzo wszędzie pożądanym, czytany, w obejściu się miły... i—ma chyba tylko przyjaciół, do których i ja się zaliczyć muszę.

Bydgoska się uśmiechnęła.

— Jak na przyjaciela, toś pan za surowy—rzekła. — Czyż koniecznie ma się za tą zasłoną coś ukrywać, czego by się wstydzić miał?

— Ale ja tego nie mówię — odparł, tłómacząc się. Paczusi—nie przypuszczam nic. Zdaje pani sprawę z tego, co jest, bom obowiązany mówić prawdę.

— Panna Michalina — dodała Bydgoska — mówiła o tym panu, niemal z entuzjazmem go wychwalając, a jej zdanie wiele u mnie waży.

— Ja też—przerwał zmieszany Emil—oddaję sprawiedliwość wielkim istotnie przymiotom Horpińskiemu, tylko—nie lubię zagadek...

Manusia śmieszkim milutkim potwierdziła, co mówił jej Emil: i ona dzieliła jego przekonanie. Zagadek nie powinno być się na świecie spotykać!

W parę dni potem p. Sylwan przyszedł z uszanowaniem do pani Bydgoskiej. Wybrał tak godzinę, iż ją zastał samą z córką; Emila jakoś nie było—co mogło się nazwać cudem, bo on tu teraz przesiadywał nieustannie.

Jak na pierwszą wizytę, Horpiński zabawił dłużej; rozmową swą potrafił zająć niezmiernie dobrą panią Bydgoską—oczarował ją niemal, umiał się podobać, i gdy wyszedł, a wkrótce potem zjawił się Paczusi, matka a nawet córka, wpadły na niego z wymówkami za to, że się nie poznał na tak ze wszech miar miłym, wykształconym, dowcipnym, ujmującym człowieku, jakim był Horpiński.

Chociaż napół żartem czyniono mu te wymówki, Emil wziął je do serca. Nie podobało mu się to, że Horpiński tak sobie potrafił łatwo te panie pozyskać.

Opanowany ciągle myślą odkrycia tajemnicy pochodzenia p. Sylwana, słysząc, że znał dobrze stryjka pani Bydgoskiej — sądził, iż to go na jakiś ślad naprowadzi, ale okazało się, iż znajomość tę zrobił w Warszawie, i—nie ona objaśnić nie mo-

gła, prócz tego, że byli z sobą bardzo w blizkich stosunkach...

Dowodziło tego wszystko; co p. Sylwan wiedział o rodzinie Bydgoskich... jak się w rozmowie okazało.

Dla zacnej, dobroduszej mamy Bydgoskiej nie było nic zadziwiającego w tem, że Horpiński o pochodzeniu swem nie mówił i niem się nie chlubił. Musiał należeć do tej drobnej szlachty, której tyle tysięcy składało stan uprzywilejowany dawnej Rzeczypospolitej. Ojciec mógł się dorobić majątku, niczem zresztą się nie odznaczywszy. Kolligacyi nie miał pewnie.

Tak, to, co dla Paczuskiego było podejrzanem—pani Bydgoskiej wydawało się naturalnem.

Sam zaś człowiek tak jej był sympatycznym, a, co dziwniej, tak nawet Maniusi, po tej wizycie, wydawał się miłym — że Emil musiał zamilknąć, ale bardzo posmutniał.

Nie tyle mu szło o mamę, ale—jak potrafił zdobyć, tak łatwo pozyskać sobie Maniusię?!

Emil nie rozumiał tego, że młodziesienkie dziewczątka, które dojrzały i poważny mężczyzna z uszanowaniem jak osobę,—(nie dziecko)—traktował w towarzystwie i obchodził się z nią równie jak ze starszymi — musiało być tem ujęte wielce, bo mu pochlebiało, iż ją już jako dorosłą panienkę uważał.

Manusia wdala się z nim w rozprawę nawet, z której wyszła zwyciężko, i w końcu p. Sylwan stał się jej miłym—ją także oczarował...

Emil czuł, że obok niego on się musiał wydawać dziecinny i płochym... trapiło go to.

Powziął więc jeszcze większą odrazę do Horpińskiego—nienawiść prawie. Mama, jak mama, ale broniąca go Manusia! — w rozpacz go wprawiała.

Tem się pocieszał tylko, że Horpiński nie mógł zbyt często nawiedzać pani Bydgoskiej, i że wpływ jego niebezpieczeństwem nie groził. Tymczasem była to nieco fałszywa rachuba. P. Sylwan zaraz potem w teatrze odwiedził panią Bydgoską w łóż i zaproponował wycieczkę w okolicę razem z paniami Zawierskimi, którą on się podejmował urządzić: przyjęto ją.

Dowiedziawszy się o tem, Paczusi, który się nie spodziewał, aby był zaproszonym, wpadł niemal we wściekłość. Zaczynał się odywać już z pojedynkiem, do którego nie miał najmniejszego prawa.

Ochłonął dopiero, gdy — znalazł zaproszenie, które Horpiński mu nadesłał. Nie poprawiło ono jednak usposobienia Paczuskiego, który przyjął inwityację, ale marzył o pomście.

Za co?—Sam może nie wiedział.

Manusia niewiele się dla niego zmieniła; jednak odrobineczkę go lżej jakoś i obojętniej przyjmowała: nie był sam jeden.

Horpińskiemu zaś, oprócz grzeczności dla pań, których krewnego był niedysz przyjaciелеm, nie można było zarzucić nic. Nie starał się w pospolity sposób o pozyskanie łask Manusi, nie prześladował jej wejrzeniami i dwuznacznymi półsłówkami.

Był z nią nadzwyczaj poważnym i właśnie tem ją sobie pozyskiwał. Co się tyczy mamuni, ta po kilkunastu dniach—całkiem się poddała wpływowi, radom, kierunkowi, jaki jej zręcznie nadawał Horpiński: wynosiła go pod niebiosą. Paczusi nie śmiał się odezwać ani słówkiem przeciwko niemu.

W miarę, jak p. Sylwan tu rosnął, on malał i schodził na coraz mniej znaczące stanowisko. Obchodzono się z nim, jak... z młodzikim. Nawet Manusia pozwalała sobie dać mu uczuwać to, że—starszych powinien być szanować i nie dopuszczała najmniejszej przymówki do Horpińskiego.

P. Bydgoska głośno wyznawała, że Panu Bogu powinna była za tę opiekuńczą znajomość dziękować, a wszyscy, nie wyjmując panny Michaliny, wtórowali jej.

W końcu Emil tak był tem boleśnie dotknięty, że jednego poranku pobiegł do Józia na radę.

Szaławski wiedział o wszystkim, ale zimno się na to wszystko zapatrywał.

— Słuchaj — rzekł — innego końca nie widzę;

to jest intrygant niegodziwy. Psuje mi u Bydgoskiej—muszę go wyzwać.

— Ale jakim pretext znajdziesz do tego?...

— Pierwszylepszy—odparł wzburzony Emil.

— Powinieneś więc o tem wiedzieć zawczasu—rzekł Szalawski — że Horpiński jako szermierz na szpady i pałasze jest sławnym, a strzela kulami do asów o zakład.

— O tem wiem—odparł Emil—ale ja też strzelam dobrze, a biję się znośnie. W pojedynku więcej stanowi szczęście, niż umiejętność.

— Panna ci za pojedynkę wdzięczną nie będzie, ani matka — dodał Szalawski. Przyspiesz tem ich wyjazd, a możesz sobie zagrozić drogę nawet. Rozważ to dobrze...

— Cóż mam począć?—wybuchnął Emil.

— Na twem miejscu—rzekł Józio—albo-bym nie nie poczynął i czekał, albo-bym się z nim rozmówił otwarcie...

Skutkiem narady z Szalawskim było to, iż jednego rana Paczusi zjawił się u Horpińskiego tak wcześnie, aby go zastał niechcynnie.

Znalazł go już ubranym, nad poważną książką, i został przyjęty z taką uprzejmością nadzwyczajną, tak mile i wesoło, że przybywszy pełen wyrzutów i gotów do żwawego sporu—mimowolnie złagodniał znacznie. Musiał zmienić ton, a nawet sposób zagajenia rzeczy.

— Jesteś pan dobrodziej — rzekł chłodniej — w takich stosunkach z panią Bydgoską, masz wpływ tak wielki na nią, iż się nie wahać zwierzyć mi i prosić o pomoc i radę...

Miałem zamiar starać się o rękę jej córki. Z początku byłem przyjmowany dosyć dobrze; od niejakiego czasu widzę i czuję oziębienie... Kocham pannę... jestem w rozpaczli...

Horpiński słuchał bardzo obojętnie.

— Przypisujesz mi pan—odparł po namyśle—wpływ, którego ja nie mam wcale; znajomość moja z panią Bydgoską jest świeżą... Nie pochlebiam sobie, abym mógł jej zaufanie pozyskać.

Zatrzymał się nieco Horpiński i zawałał z dalszym ciągiem.

— Taksamo — nie mam najmniejszego prawa panu radzić nic, ani odradzać... Muszę tylko, wszelkie przypuszczenia uprzedzając, oświadczyć mu najuroczyściej: najpierw, że co do mnie—nie powstało mi w myśli nawet starać się o pannę... powtóre, że nigdy słowem jednym nie zaszkodziłem panu, ani u matki, ani u panny... Emil podniósł głowę.

— Chcesz pan dać mi dowód życzliwości?—rzekł nagle.—Racz być moim pośrednikiem.... chciej wybadać matkę i — oświadczyć jej moje zamiary.

Horpiński wstał z krzesła nagle.

— Daruj mi pan—rzekł sucho—tego pośrednictwa na żaden sposób podjąć się nie mogę.

— Małżeństwo, według mojego przekonania i sposobu widzenia, jest czynem tak wielkiej wagi w życiu, iż sumienny, uczciwy człowiek nie może się nigdy ważyć ani pomagać do niego, ani wtrącać. Dałem sobie słowo raz na zawsze: do spraw podobnych się nie mieszać.

— Ale przynajmniej nie przeszkadzać! — wybuchnął Emil.

— Mógłbyś pan przypuścić nawet, że ja się na to ważę?—spytał surowo Horpiński.

Paczusi się zarumienił. Nie miał dowodów żadnych—domyślał się tylko.

— Co mi pan radzisz?—zawałał.

Długo milczał Horpiński.

— Nigdy nie radzę nikomu—rzekł—choć nie przeczę, że radzić drugiemu łatwiej jest, niż samemu sobie. Przez wdzięczność za to, żeś pan raczył zwrócić się ku mnie, powiedziałbym jedno. Rozważ pan dobrze czy nie zawczasie myślisz o ożenieniu się, i czy panienka też nie jest za młodzianką? Wiem, że miłość nie zna rachuby... niestety!...

Zamilkł nagle.

Paczusi siedział z głową spuszczoną.

W ostatniem przemówieniu Horpińskiego, które wistocie nie nie mówiło, brzmiało coś szyderskiego, ironicznego, niedość wyraźnie, aby się można było obrazić; ale w duszy czuł się Emil draśniętym do żywego: ten człowiek grzecznie

sobie szydził z niego, jak z młokosa, i mścił się na nim.

Dobitniej w ostatku wyraziło się to jeszcze w zakończeniu przemówienia Horpińskiego, który dodał po chwili:

— Masz pan matkę, rodzinę, przyjaciół—osoby, które jego i Bydgoskich położenie lepiej znają, niż ja: do nich się zwróć o radę.

Ja, co nie mam ani rodziny, ani stosunków, co jestem sierotą, i wydaję się jakąś zagadkową istotą... aerolitem, spadłym niewiedzieć z jaką burzą... z niewiedzieć jakiego świata, nie miałbym się kogo poradzić, i musiałbym sam rozstrzygać; ale panu—na doradcach nie zabrał. Z tego względu i wielu innych, szczęśliwszym pan jesteś nademnie...

Paczuski, posłyszawszy to—już ani słowa nie mówiąc, wziął za kapuś, i zimno bardzo zegnając się, wyszedł, przeprowadzany grzecznie, aż do progu...

Wiedział, że miał nieprzyjaciela, z którym ciężko mu się mierzyć było!

Lato nadchodzące wypędzało wszystkich z miasta—powoli.

Zrodził się w naszych czasach ten obyczaj wędrowania wzorem ptaków, pod pozorem szukania warunków higienicznych dla życia. Dawniej palono dobrze w piecach zimą, a latem starano się o chłodek w cieniu; ale, z wyjątkiem najbogatszych rodzin, mogących dogodzić swym zachciankom, nie myślał nikt o podróżowaniu do wód, do kąpieli, klimatów, do ozonu, do sosnowych borów wyziewu, do powietrza morskiego i t. p. Żył się wszakże—czasem nawet dosyć długo...

Dziś bardzo miernego majątku człowiek ma sobie za ujmę, za upokorzenie, jeśli choć za miasto się latem wynieść nie może. Urzędnikom dają się na to ferye; miasta pustoszeją, wody i stacje się zaludniają... hotele i speculanci robią na tem pieniądze. Czy życie ludzkie i zdrowie zyskuje? nie wiem...

Faktem jest, że kto się szanuje, jechać musi... a wybredniejsi prawie nigdy w domu nie siedzą.

Pani Zawierska z córką—wybierały się tym razem tylko na wieś, do swego parku, w którym dość miały chłodu i ciszy. Bydgoska nie wiedziała jeszcze: czy powróci do domu, czy dla Maniusi szukać będzie morskich kąpieli, któreby ją wzmocniły?

Po rozmowie z Horpińskim pan Emil, jak sparaliżowany, przez czas jakiś wcale nie wiedział, co pocnie. Przeszkody, które spotykał, zwiększyły miłość jego dla Maniusi; ale ona—ona—niestety, z początku tak mu życzliwa, znacznie ochłodziła dla niego.

Matka mówiła i powtarzała ciągle, kładąc nacisk na to, iż córki wcześniej za mąż wydawać nie myśli, że ona jest wątłą i zamlodą.

Paczuski słyszał to codziennie.

Horpińskiego odwiedziły mniej teraz częste były—ale zawsze on tu najpożądanym gościem, choć widocznie rywalem nie był. Natomiast, wprowadzony podobno przez niego, zjawiał się tu młodziwiec, który odrazu nadzwyczaj został zachęcająco przyjęty.

Był to pan Leon Zagłoba, syn obywatela z Lubelskiego, jedynak, majetny i spowinowacony z najpierwszymi w kraju rodzinami. Starszy nieco od Paczuskiego, poważniejszy, przystojny, z wielkim taktem: miał za sobą wszystko—a Maniusia, która go się w początku obawiała, później zajęła się nim widocznie, tak, jak on nią.

Bydgoska zwierzała się swoim serdecznym przyjaciółkom, że wolałaby go stokroć dla Maniusi, niż tego pocziwego, miłego, ale trzpiotowatego Emila, który żony-by poprowadzić nie umiał. A młodziuchna Maniusia—potrzebowała nieco prowadzenia.

Emil z nią mogliby łatwo nieopatrnie przyszość swą poświęcić miodowym miesiącom; z p. Leonem nie było o to obawy... a p. Leon był oprócz tego młody, piękny, zakochany i w społeczeństwie obiecywał żonie stopień wyższy, niż ten, do jakiego Emil mógł dosięgnąć.

Ze zjawieniem się Zagłoby, tak widocznie stracił Emil w tym domu, iż niemal do rozpacz

był przyprowadzony. Wszystko to przypisywał, nikomu innemu, tylko Horpińskiemu, jego zemście nad sobą.

P. Sylwan zawsze niby okazywał mu przyjaźń i życzliwość jakąś zimną, lecz pod nią Paczuski—czuł tę nieubłaganą zemstę... postępowanie zaś całe tajemniczego przesładowcy było tak zřejme, że wprost się upomnieć u niego nie było o co...

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYZKIE.

Paryż d. 1 Lutego 1884 r.

Nowy Rok, nowe zadania.—Kwestya śmiecia paryzkiego i gałganiarzy. — Co się znajduje w paryzkich śmieciach, i jaką one mogą mieć wartość? — Gałganiarze i ich liczba. — Nowe rozporządzenie prefekta. — Następstwa i drwiaki Paryża. — Kwestya robotników bez roboty, twardy do zgryzienia orzech. — Środki zaradcze. — Lombard i wydanie bezpłatne zastawów. — Co jest pod spodem filantropijnej pokrywy? — Wystawa artystyczna XVIII wieku. — Ciekawe i najciekawsze przedmioty tej wystawy. — *Pot-bouille* p. Zoli na scenie. — Czemu winno swe powodzenie w *Ambigu*? — Znakomity dramat p. Ohnet'a: *Maître des Forges* w Gymnase. — Kilka słów: *O świecie gdzie się nudzą*, z powodu ostatnich akademickich recepcji. — Pailleron i Caro. — Otwarcie przebranego kursu w Sorbonie. — Wykłady p. Caro i jego nowa książka o *Filozofii Rivarola*.

Rozpoczęliśmy rok nowy na śmieciach... Tak, można co do słowa powiedzieć: na śmieciach!... Aby niczego nie brakło, mamy też kwestyę: *śmiecia i brudów paryzkich!*

Jak wszędzie, tak i tu, kwestya ochędzstwa prywatnego i publicznego — jest kwestyą cywilizacji i dobrego bytu. To, co w społeczności znajdującej się w pierwotnym stanie zostawia się na łaskę psów, kotów i ptactwa, w kraju ucywilizowanym podpada pod obowiązek ciężący na samym człowieku — a w ogromnych naszych miastach ulega pewnej regule policyjnej, ma swoją odrębną, wyłączną organizacyę, swoich odrębnych urzędników i cały rynsztunek sporządzony w tym celu.

Śmiecie zresztą takiego żarłoka, jak Paryż lub Londyn, jest to prawdziwy Faktol! A chociaż nie można powiedzieć, jak w Żółkowskiego *Wyspie szczęśliwości*: „A choć się człek czasem pośliźnie, ...zawsze czegoś liźnie“, przecież są tacy rachmistrze, którzy te resztki brudowe obliczają na sumę ogromną, 25 milionów rocznej wartości. Gdyby nawet połowa tylko była prawdą, to i to stanowi piękny grosz.

Aby zdać sobie rachunek z tak ogromnego przychodu ze śmiecia, trzeba powiedzieć słówko o sposobach jego zużytkowywania. Najpierw to śmiecie się dzieli na wiele rodzajów i gatunków. Chleb, jarzyny i lepsze resztki—zużytkowywane są często *in natura* przez gałganiarzy—lepsze nawet kawałki chleba przechodzą do fabryki *grzanek do zupy i tartego chleba* (*croutons pour les potages, la panure*). Następnie papier, kość, gałgany, czerepy, szkło i t. d.—każde ma swoją kategorię i swoją cenę. Reszta zaś, to jest: prawdziwe śmiecie—to, co się zmiata, w domach i na ulicy, i popioły—jedne idą do fabryk potażu, drugie—na uprawę gruntów. Wszystkie ogrody warzywne, wszelka uprawa jarzyn i kwiatów—blisko i dalej od okolicy otaczającej przedmieścia — w tych śmieciach czerpią życie i bujność swych roślin, i blask swoich kwiatów. Płaci się to więc drogo — nawet bardzo drogo!

Dotąd w Paryżu tem żniwem i jego rozgatkowaniem zajęta była wyłącznie klasa obywateli znana pod nazwiskiem: gałganiarzy (*chiffonniers*). Jest ich tu 60 czy 70 tysięcy—cała armia, jak widzicie. Otóż rada miejska, z prefektem na czele, dla zapewnienia porządku i czystości—powiadają organa urzędowe, dla zjednoczenia zysków ciągniętych ze śmiecia w rękach pewnych przedsiębiorców—powiadają drudzy — wystąpiła z nowym urządzeniem, które narobiło strasznych hałasów i utworzyło odrazu nieznaną dotąd kwestyę: śmiecia i gałganów...

Dotąd bowiem, każdy tu się własnem zajmował

śmieciem... każdy z mieszkających w komornem, miał swoje pudełko *ad hoc*, które raniutko, wynosiło się na chodnik lub na ulicę, gdzie owe-to 70 tysięcy gałganiarzy utrzymywało porządek, wybierając najlepsze, najpłataniejsze części odpadków; reszta, pomiędzy 8 i 9 godziną zrana zabierana była do wozów, należących do przedsiębiorców urzędowego oczyszczania ulic, pod nadzorem administracyi miasta.

Nowe rozporządzenie zależy na tem, iż wszyscy mieszkańcy każdego domu, zamiast wynosić swe śmiecie na ulicę, winni je złożyć do wspólnego pudła, sporządzonego kosztem właściciela domu, które, nietknięte przez gałganiarzy wolno praktykujących, przechodzi wprost do wozów przedsiębiorczych kompanii. Praktykuje się to w ten sposób po wszystkich wielkich miastach na świecie całym—i ta wyłączna klasa gałganiarzy nie istnieje nigdzie prawie, oprócz Paryża. Nowa ustawa sprowadzi więc, naturalnie, eliminacyę, powiedzmy prawdę, smutnego, wstrętnego rzemiosła i wcale nieinteresownej klasy wyrobników *sui generis*.

Ale że tu wszystko może się stać powodem do opozycyi i taranem do walenia rządowego gmachu, chwycono się zatem tej kwestyi, wykręcano ją na wszelki sposób, a ponieważ żarciki i przyćinki nigdy nie tracą swej wartości u Paryżanów, i rzecz każda kończy się tu albo dowcipnem słowkiem, albo piosenką—znaleziono więc zaraz nową nazwę, na owe to *administracyjne pudła* na śmieci, które od nazwiska prefekta p. Poubelle'a, *pubelkami* przezwano, zmyślając, że mają napis: *Pudła administracyjnego śmiecia* i t. p. Zawsze zjadliwy Rochefort, w swoim dzienniku *L'Intransigeant* protestuje przeciw nieprzyzwoitości nazwiska p. prefekta—„To nie *Pot-bouille*—powiada—ale *Belle-puce*, powinien się on nazywać“. Ułożono stosowny *Tren* (*complainte*), z okoliczności gałganiarzy; wprowadzono później tę kwestyę na scenę, w corocznych *Revues*... Zagrażano nam nawet powstaniem 70 tysięcznej armii gałganiarzy! Ale powoli to piwo, którego nawarzyli, ostygło, wyklarowało się, opadły szumowiny, i jak w tem *bezrobociu* niedawnem furmanów, wygadawszy się należycie, każdy wróci tam, z kąd wyszedł, i tylko pamięć zostanie o tem, że kiedyś w Paryżu byli gałganiarze; bo co do śmiecia i gałganów—te nie znikną, jak ich zbieracze i zostaną czem były: gałganami...

Kwestya śmiecia i gałganów jest jedną, drobną tylko, gałązką wielkiego *pauperyzmu*, który stanowi główne zagadnienie naszego wieku. Daremnie tu, jak w naszej historii, zadawać sobie i drugim to pytanie: Kto winien? Dosyć, że ta sprawa jest na porządku dziennym, niezmiennym, wiekiustym... i że każda zima zaostza jej znaczenie i potrzeby. Najwybitniejszą jej stroną jest stan wadliwy klasy wyrobniczej na całym świecie—a tu jest on w pełnym rozwoju, jeżeli nie z powodu gorszej, smutniejszej kondycyi tej klasy, niż gdzieindziej — to wskutek tego, że agitatorowie i adwokaci tej sprawy głośnie i zuchwalej krzyczą...

Mamy tu więc kwestyę robotników bez roboty, i do tego pokaźnego zastępu 70 tysięcy gałganiarzy dodać należy armię 100 tysięcy *ouvriers sans travail*, to jest bez sposobu do życia. Naturalnie, że w tym odwiecznym arsenale walki na śmierć — pomiędzy dostatkiem i niedzą—nie braknie rynsztunku i broni. *Prawo gruntowe* (*Lex agraria*), *podział własności*, *zniesienie długów*, i t. d.: wszystko to w potrzebie wyciąga się na scenę na widok publiczny; a choć najczęściej zostaje bez użytku, przecież załada okicznością może posłużyć do walki... Tymczasem, nim przyjdzie się uciec do milszego środka: upuszczenia krwi choremu, doktorowie z profesyji szukają środków zaradczych: smarowania, kataplazmów, wezykatoryi nawet! każdy wtrąca swoje trzy grosze, nie wyłączając nawet sławnego Molierowskiego *purgare!*

Jednym z tych kataplazmów, dziś już odłożonych na stronę, była propozycya w Izbie: zwrócenie bezpłatnie z Lombardu — (tak u was podobno się nazywa „Le Mont de Piété“) — zastawów nie przechodzących 10 fr. długu. Ale po bliższem rozpatrzeniu tej kwestyi ujawniły się dziwne a wcale niespodziewane okoliczności: a najpierw, że zasta-

wy tego rodzaju, znajdujące się w tej chwili w lombardzie paryżkim, przechodzą sumę 4-milionów franków; następnie, że największa część tych fantów nie pochodzi wcale od biednych wyrobników i składa się z rzeczy zupełnie obcych tej klasie. I tak, między innymi, znajduje się tam w zastawie: 3,000 parasoli i lasek; do 3,000 instrumentów muzycznych, najwięcej klarnetów; 2,200 rondli miedzianych; 600 pudełek do likierów; trzytysiące kilkaset dywanów; przeszło 60,000 obrączek ślubnych; 5,000 z górą lornetek; 150 pudełek z farbami; 420 książek do nabożeństwa; 150 krucyfików; 400 pudełek do rękawiczek; 800 wachlarzy; 70 fajek piankowych i t. d., i t. d.

Co zaś do sprzętów takich, jak: posłanie, odzież i narzędzia robotnicze, nieprzechodzących w kwocie zastawnej 20 fr., to wynoszą ogromną sumę 10 milionów!... A więc rozwiązanie tej kwestyi pochłonięłoby kapitał 14 przeszło milionów frank.; kapitał rzucony w otchłań bez żadnego prawie pożytku dla tych, dla których gotowano ten kataplazm. Albowiem ci biedacy, którzy byli zmuszeni oddać w zastaw swe rondle, parasole i lornety, przywykli żyć bez nich, gdyby teraz odebrali je bezpłatnie z lombardu, pośpieszyliby niechybnie do biura drugimi drzwiami, aby je zastawić na nowo.

Potrzeba tu zauważyć nadto, iż rzeczy oddane w zastaw, szczególnie małej, jak te, wartości rzadko bardzo się wykupują przez swych właścicieli. Na to są w Paryżu osobne i osobliwe instytucje. Są tandeciarze i lichwiarze z profesji, do których się odnosi kwit lombardu (*La Reconnaissance*), i którzy go nabywają za lichą cenę, a przez to i prawo do zastawionej rzeczy: wydanie więc bezpłatne tych rzeczy byłoby jedynie korzystnem dla samych tylko lichwiarzy—bez żadnej pomocy dla ubogich lub potrzebujących grosza.

Sprawę tę więc odłożono na stronę — a my, opuszczając te labirynty socyalne, przejdziemy na nasze właściwe pole: literatury i sztuki.

D. 27 stycznia zamknięta została dwumiesięczna wystawa przy ulicy de Séze pod Nr. 8, wystawa urządzona wyłącznie dla dzieł wieku XVIII. Mysł to jest doskonała; następcza bowiem sposobność porównania przeszłości z epoką dzisiejszą i stanowi ciekawe studium najlepszych francuzkich artystów zeszłego stulecia. A że to był wybór najlepszych obrazów, jakie pozostały w ręku prywatnych ludzi, musiano się zatem ograniczyć do pewnej tylko liczby przedmiotów sztuki w. XVIII — bo zresztą ani obrany lokal, ani środki otrzymania współudziału szczęśliwych posiadaczy tych okazów nie dozwoliły przekroczyć pewnej granicy. Jakkolwiekby, zebrano blisko 300 wybornych dzieł sztuki we wszystkich prawie rodzajach, zacząwszy od obrazów i portretów olejnych, pasteli, miniatur, akwareli, rzeźb, aż do bronzów i rozmaitych wyrobów jubilerskiego rękodzieła.

Najpierwsze trzymały miejsce portrety i popiersia — podpisane przez takich mistrzów owej epoki, jak np. Rigaud, Largillière, Boucher, Nattier, Latour, Houdan, Pajou, Watteau, Greuze, Lancret, Fragonard i t. p. Ale największy po ciąg dla publiczności miały portrety kobiet, znanych z piękności albo rozumu... a szczególnie portrety pań: de Pompadour przez Boucher'a i Du Barry przez Drouais'go.

Powiedzmy jednakże prawdę, że chociaż to są, bez wątpienia, mistrzowskie portrety pod względem pędzla, nie dają przecież dostatecznej charakterystyki tych dwóch sławnych... kobiet — jak się one nam przedstawiają według historii i ustnej tradycji. Nawet, jako wykonanie artystyczne, portret pani de Pompadour wiele do życzenia zostawia... a przecież dzisiejszy jego właściciel, baron Adolf Rotschild, zapłacił zań przeszło 100 tysięcy franków. W portrecie zaś tej, która wzięła po niej sukcesyją i dalsze prowadzenie trudnego przedsiębiorstwa, polegającego na zabawianiu starego Ludwika XV., — Drouais, nie dał nam w całej ich prawdzie tych pięknych i wyzywających wdzięków, które szeroko zasłynęła przestawna Du Barry...

Taksamo mię zawiódł i portret sławnej pani Geoffrin przez Nattier'a. Choć ta sztywna Westalka pilnuje niby dogorywającej w dali lampy;

niema w niej przecież, ani tego wdzięku, którym podbiła zamlodu cały rój błyszczących motyli wielkiego świata i salonów paryżkich, ani tej doktrynerskiej surowości, z jaką prowadziła w późniejszym wieku, posłuszny na każde jej skinienie, zastęp: uczonych, artystów i dyplomatów swego czasu — a której, jakby daleki odgłos, znajdujemy w tym bilecie Stanisława Augusta, pisanym zaraz po jego wyniesieniu na tron: „Maman! je régne: ne me grondez pas“.

Ale, nie mogąc wyliczać wszystkiego, powiem, że najznakomitszym dziełem tej wystawy — było popiersie snycerza Pajou, przez Rolland'a. Nieznany prawie ten rzeźbiarz okazał się tu prawdziwym mistrzem, wyższym nawet od wielu głośnych znakomitości. I powiedzmy szczerze: niewiele jest dzieł w dziedzinie snycerstwa dawniejszych wieków, któreby można postawić na równi z tym zachwycającym i mistrzowskim portretem.

Znacie już, ze słyszenia przynajmniej, powieść p. Zoli, pod tytułem: *Pot Bouille*. Zadaniem pisarza — tak nam powiadał — było: pokazać małą, mieszczańską rodzinę, doprowadzoną do ruiny i hańby przez nieszcześliwą chęć popisywania się i odgrywania roli, wyższej nad stan jej i kondycją. Zadanie to stare jak świat i potrzeba niezmiernego talentu pisarza, aby na tej podstawie, w takich ramach, stworzyć można powieść, lub sztukę teatralną, zdolną zadziwić, lub głęboko poruszyć, publiczność. Na to nie dosyć sypać sól i pieprz garściami!

Dokończenie nastąpi).

ROMANTYZM WE FRANCYI

przez

JERZEGO BRANDESA

w streszczeniu podał

Edward Lubowski.

(Dalszy ciąg).

Brandes przytacza próbki stylu Gautiera i stylu Balzaca, a raczej jego przeróbki ze słów Gautiera. Jakaż różnica! Pochodzi to ztąd, że Gautier jest pisarzem pierwszej wody, ale mimoto jako poeta zimnym jest i ubogim, jest on nadzwyczajnym rzeźbiarskim talentem, który się przypadkowo w poezyi zabłąkał. Balzac, przeciwnie, jako pisarz jest podrzędnym, ale jako poeta pierwszorzędnym. Nie umie on postaci w kilku słowach scharakteryzować, bo ich nie widzi w plastycznej sytuacji. Przed okiem swem wewnętrznym widzi on postacie w najrozmaitszych ubiorach i fazach życia, w całym bogactwie ruchów, słyszy ich zapytania i odpowiedzi, tak że te osoby stoją przed nami jak żywe. Ani jedno wytworne ale suche stowarzyszenie wyobrażeń nie ilustruje jego postaci, tak jak u Gautiera, lecz postać tę tworzy sto tysięcy nieświadomie razem zbiegających się skojarzeń (Ideen-Association) bogactw jak sama natura, jak rzeczywisty człowiek, który fizjologicznie i psychologicznie, przez szczególnie zmieszanie rozmaitych duchowych i cielesnych żywiołów, staje samodzielnie. Niepodobna przytaczać przykładów, w których Balzac jednym dyalogiem, gestem albo szczegółnością kostiumu, domowego urządzenia i t. p., wywołuje żywą postać. Ale i w tem leżała dla niego trudność, że wobec bogactwa pamięci i intuicji, nie wiedział często, jak sobie radzić. Ztąd często przeładowanie albo przerwa w charakterystyce, i dopiero nanowo straszliwa praca, ażeby błąd poprawić. Można sobie wyobrazić, ile potrzebowwał rezygnacji i wyrobienia, ażeby w ten sposób w 20 latach stworzyć więcej niż 100 romansów i dramatów. A jego korekty pozostaną słynne. Dziesięć razy robi korektę z jednego arkusza, dlatego właśnie, że mu brak pewności w wyrażeniu.

niu. Połowa honorarium, a czasem i więcej, szła na płacenie tej korekty, zanim wydał dzieło....

Trzeba głęboko uszanować jego wytrwałość w pracy i odwagę; nie jest on tytanem, ale należy do rasy cyklopów, który z wolna wybudował piramidę tak wysoką, jak geniusze W. Hugo i p. Sand.

Pierwowzorem Balzaca był W. Scott, od którego później niezmiernie się oddalił. Był on zaudto nowoczesnym duchem, ażeby czuć tęsknotę do odległych stuleci, zaudto też wielki skarb spostrzeżeń zebrał, ażeby nie starać się go jaknajłatwiej spożytkować. *Filozofia małżeństwa*, pierwsze dzieło jego, które zwróciło uwagę, było bądźco bądź brutalną analizą społecznych urządzeń, które od odwiecznych czasów istniały we francuzkiej literaturze, celem pośmiewiska i ironii. Dla Balzaca małżeństwo jest pobożowskim dwóch egoizmów, odkrywa też tajemnice małżeństwa z szorstkością Molierowską, a jest pesymistyczniejszy od Moliera. Książka pełna wesołych anegdot, jest jednak dla kobiet, i słusznie, wstrętą. Nic w niej z polotu szlachetnego Balzaca, tylko bezwzględna analiza. Odtąd oczyszcza się jego pogląd na świat. W tymże 1831 r. pisze pierwszy swój filozoficzny romans: *La Peau de Chagrin*, który ustalił jego sławę jako poety; a potem *Contes drôlatiques* inspirowane przez Rabelais'ego, podobne do opowieści Boccaccia. Gdyby nie były pisane w staroświeckim francuzkim języku, wydałyby się brudnemi, ale naiwność językowa czyni je w swoim rodzaju arcydziełami.

La Peau de Chagrin przedstawia w symbolach obszerny obraz nowoczesnego społeczeństwa, które całość dzieła Balzaca w rozwinięciu przedstawiać miała. Ostateczności kontrastów światowych stykają się tu barwnie, malowane szerokim pędzlem, w których wszakże więcej jest filozofii aniżeli indywidualnej charakterystyki. Młodemu bohaterowi, chcącemu sobie życie odebrać, sprzeczając stary tandeciarz kawałek ośle skóry, niedającej się zniszczyć, ani ogniem, ani żelazem. Posiadaczowi, którego życie zależy od całości tej skóry, zapewnia spełnienie każdego życzenia, ale po każdym spełnieniu skóra zmniejsza się o kilka cali. Nadzwyczajna fantazja zdołała tu nadnaturalność uczynić prawdopodobną w głębokim symbolu. Balzac powiada: „Człowiek wyzerpuje się w dwóch instynktownych czynnościach, przez które źródła jego życia zasychają: przez wolę i możność. Wola nas wypala, możność niszczy“, czyli, że umieramy ostatecznie, bo się zabijamy codziennie. Skóra więc ta taksamo znika przez wolę i możność. Powieść rzeczona wskazuje główną dążność całego pokolenia, używania życia nad miarę, co powoduje czechość i śmierć. Goethe w ostatnim roku swego życia czytał tę książkę i nazwał ją znakomitą i pełną dobrego smaku. A jeszcze ta summa doświadczenia wypływa z rzeczony powieści: że społeczeństwo nienawidzi nieszczęścia i bólu, i jakbądź majestatycznym byłoby nieszczęście, społeczeństwo ośmiesza je epigramatem, a nad upadłym gladyatorem nigdy nie czuje litości. Krótko mówiąc: społeczeństwo wydaje się Balzacowi pozbawionem wszelkiej religijnej i moralnej idei, hołduje powodzeniu, sile, pieniądzu, nie znosi nieszczęścia, z którego korzyści osiągnąć nie może, bo jego hasłem jest: „biada słabemu!“

Przed Balzaciem miłość była jedynym przedmiotem romansu; on dopiero spostrzegł, że nie miłość, ale pieniądz jest bóstwem społeczeństwa. Dlatego brak pieniędzy, jego potrzeba, stanowi w dziełach jego oś społeczną. Spostrzeżenie to było śmiałem i nowem. W romansie czyli w poezji mówić o dochodach i wydatkach osób z wszelką dokładnością, było rzeczą niesłychaną, prozaiczną i szorstką, bo zawsze nazywa się szorstkością: mówić to, o czem wszyscy myślą, ale jednoznacznie tają; przedewszystkiem zaś było szorstkością w dziedzinie sztuki, którą często pojmowano, jako pięknie ubarwione kłamstwo.

Ale Balzac był jeszcze młody, i on uczynił kobietę i miłość ogniskiem szeregu swych romansów, tylko, że ten temat umiał traktować oryginalnie, tylko że nie piękności, zwłaszcza plastycznej, hołdował on w kobiecie. Brał on kobietę taką, jaką była, ze wszystkimi słabościami, namiętnościami, humorami i nerwami. Nie zadawał-

nia się jednak studiowaniem jej duszy, ale bada fizjologicznie przyczyny stanu tej duszy, bada cierpienia fizyczne kobiety.

Drugą właściwością Balzaca było to, że bohaterką u niego nie jest dziewczyna ani nie zbyt młoda kobieta, ale „kobieta trzydziestu lat”. Trafnie dostrzegł on, że kobieta północnego klimatu Francji nie jest jeszcze w 18 roku życia rozwiniętą, ani fizycznie, ani duchowo. Taka zaś, która ma już za sobą młodość, boleść, zmarszczkę, jest kobietą w całej pełni. Cierpiała, była zawiedziona, zdolną jednak jest jeszcze wzbudzić uczucia miłości i miłości. Patrzy zaś na nią zawsze tak w jego powieściach człowiek młodszy, zdolny do wyidealizowania sobie jej postaci (czytaj: „Le Message, La Grenadière, La femme abandonnée, La femme de trente ans, Madame Firmiani, La grande Brétèche”). Idealistycznym jednak nie jest obraz jej nigdy, bo tylko dla p. Sand kobieta jest przede wszystkim istotą moralnie obserwowaną; dla Balzaca jest ona psychologiczne-fizjologicznym faktem, a więc nie bez błędów.

W „Le Réquisitionnaire”, znakomitej nowelli, przedstawia miłość matki dla syna z niewymowną prawdą i potęgą. Tło należy do czasów Wielkiej Rewolucji. W „La femme de trente ans” i „La paix du ménage”, scharakteryzował typ kobiety z Epoki Napoleońskiej; ale najbystrzej talent jego obraca się w przedstawieniach z epoki Restauracji. Pomimo nielitościwej swej analizy, umiał on jeszcze, jako prawdziwy poeta, pod ciężarem prozaicznej plutokracji Dni Lipcowych, tęsknie spoglądać w Czasy Restauracji, która wreszcie była epoką jego pierwszej młodości. Towarzyskie życie i dobry ton, oraz humanitarne poglądy wyższych sfer owych czasów, zniknęły całkowicie: dlatego to malował on piękne grzesznie przedmioty St-Germain tak pochlebnymi farbami. Dwie wielkie panie, księżna d'Abrantès i de Castries, grały przy nim rolę nimfy Egeryi. Towarzystwo epoki Królestwa Lipcowego maluje dopiero później i pesymistycznie. Namietność bohaterki wydaje mu się teraz występkiem, a egoizm i interes widzi wszędzie, zwłaszcza u kobiety.

Dwa romanse z lat 1833 i 34: *Eugenia Grandet* i *Ojciec Goriot* wywyższyc trzeba. W pierwszym rywalizuje ze „Skapcem” Molière'a, w drugim z Szekspirowskim „Lirem”. *E. Grandet* zajęła przedewszystkiem prawdą odworowanego życia na prowincji, głównie jednak godną uwagi z tego względu, że skąpstwo, zazwyczaj przedstawiające się komicznie, umiał podnieść do wyższego znaczenia, do czegoś strasznego, tyranizującego wszelkie inne ludzkie uczucia. Tu już dowiódł Balzac, że dobrany przedmiotem umie wielkie wywołać wrażenie. Atoli w „Ojcu Goriot” rozszerza się widnokrąg życia. Olbrzymi Paryż wystudyowany tu, jak przez panoramę, każda postać społeczna ma swoje najindywidualniejsze rysy. Pomimo porównania z „Królem Lirem”, prawdziwym tematem powieści tej jest wstęp młodzińca przybyłego z prowincji w świat paryżki, wszystkie doświadczenia, jakich doznaje i całe wychowanie, jakie szybko w tym świecie odbiera. Rozwój charakteru tego młodzińca (Rastignac) należy do najgłębszych w nowoczesnej literaturze powieściowej... Rastignac jest typowym młodym Francuzem owej epoki... Niema w tej powieści szlachetnych postaci, a zatem i sposobności do niesmacznego patosu, ale nieporównanie przedstawione są dusze zbrodniarza, kokietki, finansisty, starej zazdrosnej panny. Ojciec Goriot wszakże nie udał się tak bardzo. Autor nadaje miłości tego ojca do córek tak zmysłowy charakter, że nas brzydzi jakby jaką hysteryą. Ale przeto, że śmierć tego opuszczonego starca, którego serce własne córki deptały nogami, przypada na sam środek książki, zyskuje dzieło na jedność i siłę... Nie wystarczyło poetycznej siły Balzacowi, ażeby przedstawić Kordelię w szekspirowskiej czystości i prostocie, ponieważ sfera szlachetności nie jest jego sferą, ale potrafił Reganę, Goneril uczynić bardziej ludzką i prawdziwszą, aniżeli wielki tragik.

W r. 1836 powziął Balzac myśl: wszystkie swoje romanse już napisane i te które napisze, połączyć i zgrupować razem, w jeden ogólny organizm „Komedyi ludzkiej” (*Comédie humaine*). Pomysł był arcy-wspaniały i w literaturze świata jedyny;

kilka set czy kilka tysięcy osób miało przedstawić zupełną psychologią wszystkich klas społecznych XIX wieku. Rezultat nie odpowiadał zupełnie zadaniu. Wprawdzie Paryż cały jemu współczesny, przewija się przed oczyma w wielkiej barwności i różnorodności, i wszystkie niemal stany mają swych przedstawicieli, zjawiających się ciągle w różnych położeniach w każdej książce, atoli często czujemy się przytem znużonymi. W przedmowie do planu „Komedyi Ludzkiej”, nazywa on się badaczem natury. Istotnie jest nim, gdyż nigdy nie moralizuje, gdyż analizuje według prawdy, a niema dla niego nic, ani zbyt wielkiego, ani zbyt małego, czego by analizie poddać nie było warto. Dlatego w romansie: „Wielkość i upadek Cezara Birotteau”, porównywa z genialną zachwalością, przygody tego paryżkiego perfumera z losami Napoleona. Chce przez to dowieść, że życie prywatnego człowieka i jego cierpienia równie są ciekawe i ważne jak przeobrażenia w życiu ludów lub wielkich ludzi. Taksamo, jak występki, tak i cnota, jest u niego tylko rezultatem pewnych danych z natury...

Potrzeba koniecznie przeczytać *Cousine Bette*, *Ménage de garçon* i *Illusions perdues*, ażeby ocenić ciąglej postępek jego w późniejszych jeszcze latach.

* * *

Ktoś powiedział o Balzacu, że wypił z 50,000 filiżanek kawy, i że z tych 50,000 filiżanek umarł. Istotnie, nocne czuwanie przy szalonej ascetycznej pracy, podsypane pićm czarnej kawy, wyniszczyło jego siły. Poznać można po jego dziełach niezmordowany pośpiech i rozdrażnienie nerwowe; atoli kto wie, czy dzieła jego pisane rozważniej, byłyby zachowały takie życie. Na ostatnie 17 lat życia przypada znajomość z p. Hańską. Romans „Albert Savarus” przedstawia pod gazą ten jego związek. Korrespondencja między nimi trwała od 1833 r., a skończyła się w 1850 r. małżeństwem. Przypisują p. Hańskiej wpływ w napisaniu *Serafity* i *Modeste Mignon*. Balzac nie chciał się wprzód z nią ożenić, dopóki długów nie popłaci. Ślub odbył się w Berdyczewie, ale nowożeńiec miał już w sobie zarody śmiertelnej choroby, gdyż w kilka miesięcy po ślubie zmarł. Nigdy chyba lepszych i głębszych dzieł nie napisał, niż w tych ostatnich latach swego życia. Stał też wtedy u szczytu sławy. Zaprowadził on nie tylko nową formę romansu, ale wprowadził metodę obserwacji, którą inni po nim rozszerzyli. Stworzył szkołę, za życia jednak nie miał tej zupełnej sławy, jaką zyskał teraz. Pochodziło to najprzód ztąd, że styl jego był ciężki i niedoskonały, co się nie podobalo retorycznie usposobionym Francuzom: styl jednak przyczynia się zawsze do przetrwania na wieki dzieła sztuki, dlatego *Komedia ludzka* po kilku stuleciach nie będzie czytana, nawet jako materiał do historii. Drugą przyczyną było to, że Balzac w wszelkich kwestiach religijnych i społecznych a postępowych, nie umiał być kierownikiem: polityczne bowiem jego i religijne doktryny, działały odstręczająco. Silna jego zmysłowość, nieokiełznana potęga fantazyi, doprowadziły go do mistyki w nauce i religii. Zwierzęcy magnetyzm stał się ulubionym jego przedmiotem. W *Peau de Chagrin*, *Serafite* i *Louis Lambert* definiuje wolę jako: „fluidum, które wszystko, nawet prawa natury, zmodyfikować może”.

Z natury i wychowania patrzył trzeźwo na pełnię życia, ale widząc zdżiczenie społeczne, szukał na to ratunku, i dlatego tak rażąco działa nieraz u niego pomieszanie zmysłowych instynktów z ascetycznymi tendencjami. Obawa przewrotnych tendencji doprowadziła go do uważania za wspólnego wroga: ludu, sług i chłopów (patrz: *Cousine Bette* i *Les paysans*). Przy wszystkich zatem zaletach brakowało Balzacowi tego spokoju, który daje ukształcenie; posiadał jednak rzecz ważniejszą dla pisarza od wszelakiego ukształcenia, bo głęboką genialność.

(Dalszy ciąg nastąpi).

LISTY Z ZAGRANICY

J. I. Kraszewskiego.

Tissot; nowe dzieło o Niemczech: „Niemcy rozkochane.” — Saxonii. — Dreźnie. — Potwarze i czernidła. — Rodzina królewska. — Wartość tych wspomnień podróży. — „Społeczność berlińska” przez Guy de Maupassant. — Tęgoż „Na słońcu”. — Alger i kolonizacja. — Oktaw Feuillet. — „Wdowa” i obrazek dramatyczny „Podróżny”. Daudet, Zola, „Chérie”, W. Hugo i wiwiskocya.

Wiadomo, jak wielką wrzawę i oburzenie wywołała przed laty wydana podróż W. Tissota do kraju miliardów. Autor, który pewną znajomość stosunków niemieckich zawdzięcza wychowaniu i studiom w uniwersytecie Niemiec, z pragnieniem mściwego odwetu pisał tę pierwszą swą wędrówkę, która we Francji przyjęta została, naturalnie, z oklaskami i imię jego wślawała. Nie wiem, ile wydań jej (podobno pięćdziesiąt) dotąd się rozprzedało. Po tej szczęśliwej próbie nastąpiły: „Prusacy w Niemczech”; „Les Prussiens en Allemagne”; „Podróż do krajów anektowanych (wcielonych)”; „Wiedeń i Wiedeńscy”; „Społeczność i obyczaje Niemiec (Scherr'a)”; „Podróż do kraju Cyganów”; „Rossyanie i Niemcy”; „Rossyja i Rossyjanie” i t. d.

Najpobłażliwiej nawet sądząc — lekko, czasem dosyć dowcipnie piszącego Tissot'a, trudno przyznać, ażeby wszystkie te dalsze ciągi i z tematu wędrówek pisane wariacje — postępu w rozwinięciu się talentu dowodziły. Przeciwnie, coraz słabsze są te owoce przejażdżek, pobieżnie, szybko, galopem odbywanych, które wypełniają mnogie wypisy, tłumaczenia, wyciągi i materiały wcale niekrytycznie dobierane, byle były jak najjaskrawsze.

Tissot, który oprócz tego na wspólną z jakimś panem Amers, pisze i romanse na tle niemiecko-rosyjskiem — (okropne) — uczuł świeżo potrzebę przypomnienia się Niemcom nową napaścią i wydrukował: „Niemcy rozkochane” (*L'Allemagne amoureuse*). (Dentu. 8-o, 384 pp.). Jest to wycieczka do Dreźnie, w czasie, gdy tu przyjmowano uroczyste cesarza Wilhelma. Ktoś złośliwy, czy też niezadający sobie pracy przeczytania całości, ogłosił w tutejszych dziennikach, że Tissot nareszcie raz był sprawiedliwym, i że charakterystykę Saxonii i jej stolicy skreślił bardzo trafnie!

Tymczasem te Niemcy rozkochane są najobrzydliwszym w świecie pamfletem, a w dodatku, jako książka — nędzotą niżej wszelkiej krytyki.

Najgłówniejszym zarzutem, jaki uczynić należy, jest: że podróż ta — brudna, pełna skandalicznych i bezwstydných anegdot, obudza prawdziwy wstręt w czytelniku. Zdaje się, że Tissot dobiegał, co tylko w ulicy i rynsztoku mógł znaleźć. Autor, zaledwie przebiegłszy Dreźnie, z przewodnikiem jakimś, który znał tu tylko co było i jest najbrudniejszego, dołatał zbieranie fałszów i plotek wypisami z pamiętników takich, jak Pölnitz i t. p., powtórzył mnóstwo rzeczy oklepanych... podał to sosem podejrzanego bardzo dowcipu, i — podał na stół gorąco.

Rumienić się trzeba, czytając te pochwały, jakimi Tissot obsypuje Sasów, przeciwstawiając ich Prusakom. Można by już nad nie chyba woleć potwarze i czernidła. Według Tissot'a Dreźnie byłoby pod względem obyczajów rozwiązłych — gniazdem zepsucia, któremu brak nawet poczucia wstydu i uznania tego poniżenia i upadku. Tissot wychwala tę lekkość, tę galanterię, to głupie rozromansowanie jakiegoś, które spowodowało tytuł nadany podróży — dlatego, iż coś nowego o Niemczech napisać było potrzeba — nie bez ironii może i skrytego szyderstwa.

Nie wiem, czy Sasi i Dreźnie, bo z całej Saxonii Tissot zna jedną tę stolicę, w której podobno nad trzy czy cztery dni nie gościł — potrzebują obrony i rehabilitacji. Książki nikt w świecie

cie poważnie nie weźmie, a nie każdy mieć będzie cierpliwość doczytać ją do końca.

Oprócz ubiegania się za skandalami, łapania niedorzecznych plotek—zarzucić trzeba autorowi bijących w oczy kłamstw i omyłek moc nieskończoną, nawet tam, gdzie, jak w galerii obrazów, idzie o powszechnie znane arcydzieła. Tissot, na przykład, arcydzieło Tycyana „Christa alla moneta“, przypisuje Palmie starszemu!!! a o wielu arcydziełach nie wie wcale. To zaś, co pisze o Madonnach Rafaela i Holbeina, jest wprost zapożyczone z podręczników. Naturalnie, pisząc o Dreźnie, musiał Tissot mówić o galerii, ale się z tego wywiązał jak podróżny spieszący się bardzo, któremu pilno knajpy i kawiarnie lustrować i w pogoni iść za anegdotami, z ust chyba stróżów i uliczników zaczerpniętymi.

Ponieważ, mimo skrzętnego zbierania tych brudów, nie starczyło na trzysta kilkadziesiąt stronnic, więc Napoleon I i odwieczna kronika skandaliczna Augusta II-go musiały przyjść w pomoc i wypełnić próżne karty.

Voltaire podobno po przeczytaniu jakiejś historyi miał zawołać: „Et c'est ainsi qu'on écrit l'histoire!“ — Czytając Tissot'a, chce się ciągle powtarzać za nim, że tak się malują kraje i dzieje!! Jeżeli ta nędzota wpadnie komuś w rękę za jakie sto lat,—powie sobie może, iż mimo przesady, musi przecież w niej być coś prawdy, choć jakaś homeopatyczna jej cząstka. Tymczasem jest to z końca w koniec bałamuctwo i zlepek fałszów.

Dwadzieścia przeszło lat żyjąc tu i przypatrując się życiu Sasów z bliska, moglibyśmy niejedną w niem znaleźć stronę ujemną; ale zupełnie gdzieindziej-by ich szukać potrzeba, nie tam, gdzie Tissot dla tytułu poszedł ich dopatrywać.

Najmocniej oburzającym jest to, co pisze o rodzinie panującej, z zupełną nieznajomością jej charakteru, stosunków miejscowych,—to, co mówi o królu Janie, i o teraz panującym synu jego.

Miedzy innemi naprawdę utrzymuje autor, że król z kampanii francuskiej, znaczne łupy!—przywioził do domu, że tak jest ubogim, iż pieniądze, które się opłacają za wnieście do muzeach, potrzebuje na swe utrzymanie! Tymczasem rodzina królewska, bardzo oszczędnie żyjąca—to prawda—jest jedną z najzamożniejszych, a owe pieniądze, składane za wnieście do muzeów, nie starczą ani w części na ich utrzymanie i pomnożenie. Corocznie skarb krajowy dokłada miliony, choć Saxonia nie liczy nad trzy miliony mieszkańców.

Charakterystyka nieboszczyka króla Jana, niewiedzieć zkąd pochwycona, jest wprost poczwarną, taksamo, jak jego następcy. Tego, co Tissot pisze o królowej, dobroczynnej, zajętej tylko ubogimi i swemi instytucjami, jak; „Albertsverein“, „Carola-Haus“, „Dom ochrony“ i t. p.—nie można nazwać inaczej, jak nieopieczniwą potwarzą.

Nawet tak pośpiesznie przebiegając Drezno, jak autor, ale nieograniczając się odwiedzaniem knajp, teatrzyków i pokątnych restauracyjek—można było poznać je lepiej i znaleźć w niem coś bardziej zajmującego nad to, co nam daje.

Tytuł — wyszukany ten tytuł—zmuszał go do szukania wszędzie miłości, w miejscu której maluje wprost najwyuzdańszą, zimną rozpustę.—Nie można prawdziwie zrozumieć, czy wysilając się na pochwały dla rozmiękłych, wycieńczonych, zepsutych Sasów, jakimi autor ich widzi — istotnie tak się w nich rozkochał, czy pro prostu drwi z nich i czytelników. Punkt widzenia, jaki sobie obrał, w każdym razie smutniej świadczy o moralności francuskiej, niż o saskiej.

Do wycieczki tej nakłonić miał Tissot jakiś p. Freeman, który mu tu służy za przewodnika i mentora. Przez Kolonię i Lipsk dostają się do Dreznia natłoczonego podróżnymi z powodu spodziewanego przybycia Cesarza. Już w pierwszych rozdziałach, z powodu przejazdu przez Hanower i Brunświk, widać, iż autor przewiduje, że mu wątku na zwykły tom nie starczy: prawi więc tysiąc razy już powtarzane rzeczy, które wszystkie dzienniki paryżskie oddawna już obie-gły. Ponieważ zarzucano mu systematyczne czernienie Niemiec—tu, co tylko może, wychwala

i ogólny widok kraju zachwycą go, tam nawet, gdzie w nim nie tak zachwycającego niema. Dwa rozdziały poświęcone są opowiadaniu o uroczystościach na przyjęcie cesarza Wilhelma wyprawianych. Widzieliśmy je tylko z okna i zdaleka, ale więcej-byśmy o nich od Tissota powiedzieć mogli.

Wyjawszy galerii, kościoła i niektórych zbiorów, autor nie widział nic, oprócz restauracyi, piwiarni, kawiarni, śpiewających i zadymionych; nie poznał prawie nikogo, a to, co tu słyszał—do tego się żaden Drezdeńczyk nie przyzna, ażeby mógł mu opowiadać. Sasi odznaczają się przywiązaniem do dynastyi swojej, i nikt z nich nigdy potwarzy takich nie przyjąłby inaczej, tylko z największym oburzeniem.

Ów romans starego króla Jana... jest rzeczą monstrualną poprostu.

Ze wszystkich wyrobów Tissota „Niemcy rozkochane“ są najlichszym, a tak brudnym, iż go ani na stole położyć, ani w przyzwoitem towarzystwie mówić o nim nie podobna.

Jest to, nie realizm Goncourt'ów i Zoli, ale stary bezwstyd markiza de Saade i Casanovy, z którego też Tissot nie omisszał tu wypisać niedorzecznej przygody w Kolonii. Smutne to za-prawdę.—Miałaby i ta lichota dojść we Francyi do 30 kilku wydań?

Dotąd w pismach niemieckich zaledwie jedną znaleźliśmy wzmiankę o tej podróży, widocznie napisaną bez bliższego z nią poznamienia się. Na krytykę to nie zasługuje, a najwłaściwiej się znajdują Sasi, gdy pominą nędzotę pogardliwym milczeniem...

Wątpię, aby jej honor ten uczyniono i zakazano jak pamiątkę, który drukowała „Nouvelle Revue“ o społeczeństwie berlińskim. Tegośmy nie czytali, bo dotąd niema go w księgarniach. Autorem ma być, znany ze swych powieści i opisów podróży Guy de Maupassant, który zużytkował wspomnienia jakiejs kuzynki, przez długi czas przebywającej na dworze księcia Fryderyka Karola. Z tego, co słyszymy, widać, że sądy o społeczeństwie berlińskim, niechętnie, złośliwie, niezawsze nawet same z sobą są zgodne, bo w nich mnóstwo sprzeczności. Guy de Maupassant nie jest bez talentu, lecz niema tak wybitnych znamion, aby wyższe zajął stanowisko. Ostatnia jego książka *Au soleil*, opisująca wycieczkę do Algeru, po wszystkich innych błędach się wydaje i mało zajmującą. Ta jej część, która we Francyi najżywiej może zainteresuje, tycząca się administracyi kolonii i krzyczących nadużyć, które postęp hamują, a pokój niemożliwym czynią, dla obcych czytelników mniej jest przystępną. Gdyby jednak połowa tylko tych niesprawiedliwości, jakich się tu dopuszczają władze francuskie, rzeczywiście była, starczyłaby na wytłómaczenie oporu Arabów i nieustannych niepokojów, które z tego podboju nie pozwalają korzystać Francyi. Co za przejmujący obrazek tej biednej alzackiej staruszki, którą wyposażono ziemią w Algerze, aby na niej z głodu marła!... *Au soleil* winnoby w sferach rządowych uczynić pewne wrażenie. Natchnęła je myśl szlachetna, której zaprzeczać się nie godzi.—Nowości francuskie jest wiele, ale nie wszystkie na sprawozdania zasługują.

Do udatniejszych, na które już sam tytuł autora, jak członka Akademii, zwraca uwagę, należy Oktaw. Feuillet *Wdowa* (La veuve—Le voyageur. Paris. Levy 1884. 8-o 254 pp.).

Wdowa jest ładną nowellą z talentem i wytwornością napisaną. Pomysł służący jej za wątek dosyć oryginalny. Dwaj przyjaciele, Robert de la Pave i Maurycy de Frémeuse, służą, jeden w marynarce, drugi w artyleryi. Zdala od siebie, Kochają się serdecznie, chociaż widują rzadko. De la Pave żeni się, i dla miłości żony, opuszcza służbę, co mu przyjaciel jego ma za złe, a żal do pięknej pani, która była przyczyną, iż de la Pave obowiązki swe względem kraju zaniedbał. Rok 1870 obu ich łączy potem na placu boju. Frémeuse, przywołany do śmiertelnie ranego przyjaciela, odbiera od niego polecenie, aby żonę oddał ostatnie po nim pamiątki a razem wyraził od umierającego, nie życzenie, ale rozkaz najbezwzględniejszy, ażeby nie wyszła drugi raz

za mąż. Frémeuse zobowiązuje się do tego słowem honoru. Po wojnie przybywa dla spełnienia polecenia przyjaciela, ale nie ma w początku odwagi odnieść wdowie niedorzecznego pośmiertnego rozkazu i groźby...

Wdowa i przyjaciel zmarłego zrazu są wzajem przeciwko sobie uprzedzeni, ale w końcu zbliżenie się, poznanie lepsze, sprowadza współczucie i miłość. Miłość ta zmusza p. de Frémeuse do wyjawienia ostatniej woli p. de la Pave. Para zakochanych przysięga sobie — przyjaźń czystą i świętą; kończy się to jednak tem, że stosunki przyjaźni nie starczą sercom obojgu. Frémeuse zmuszony jest nawet za poradą duchownego, który go rozgrzesza, do ożenienia się z wdową przyjaciela. Niegdyś on i zmarły de la Pave pod krzyżem w dzieciństwie poprzysięgli sobie niezłomną przyjaźń. W dzień wesela, po ślubie Frémeuse idzie pod tensam krzyż, sumienie mu czyni wyrzuty i—kończy samobójstwem. Bardzo to ładne i zręcznie ułożone, ale naciągnięty temat daje się czuć w czytaniu. Możliwe to, a jednak bardzo mało prawdopodobne, szczególnie w Francyi.

Dla dopełnienia tomiku Feuillet dołożył bardzo wdzięczny obrazek dramatyczny, napisany pewnie dla jakiego teatrzyku amatorskiego

Oto treść jego. Pan Henryk d'Abret, zakochany w kuzynce Laurze, której lepiej się podobał naówczas p. Breville, puszcza się z rozpacz do Ameryki na studia etnograficzne. Kilka lat upływa, miłość nieco ostyga i p. Henryk powraca do Europy, a ponieważ kuzynka Laura trafia mu się po drodze, wstępuje do pańswa Breville. Tu dopiero w salonie od służącej, dowiaduje się, że pani Laura jest od kilkunastu miesięcy wdową! Nie chcąc się więc nawet widzieć z opłakującą ukochanego męża, zamierza natychmiast się wysłiznąć. Ale—kuzynka Laura nadchodzi, wcale nie okazując tego strapienia po stracie nieboszczyka, jakiego się Henryk spodziewał. Z rozmowy nawet przekonywa się podróżny, iż gotową-by była zawrzeć nowe śluby. Tu epizodycznie wchodzi dwaj pretendenci do jej ręki, wybornie naszkicowani—jeden *viveur*, drugi pracowity urzędnik, obaj niezbyt powabni.

Ani też dziwić się można pani Laurze, iż nad nich obu przenosi kuzynka, o którego miłości jest przekonana, a któremu etnograficzne studia w Ameryce nadały więcej żywości i swobody, niż ich miał przedtem.

Uznaje to nawet służąca wdowy, która pierwsza wita podróżnego i znajduje go mniej ciężkim i zatyłym, niż niegdyś. Z wielką elegancją i do-wcipem poprowadzone są te „sceny dyalogowane“, które zapewne znajdują tłómacza i przy starannej grze bardzo się podobać mogą.

W stylu i wykonaniu tych drobnostek czuć członka akademii, który się szanuje i rzeźbi a wykończa to, co pisze. Każda z postaci jest wytwornie scharakteryzowana. We wdowie i w podróżnym niema tu bardzo uderzających charakterów, ale każdy z nich z natury wystudyowany i ma cechy prawdy. Dwóch głośniejszych a dawno przyobecanych nowości, Alfonsa Daudet i Zoli—dotąd nie znamy. Pierwsza z nich jednocześnie podobno ukaże się w języku francuskim i niemieckim, druga drukuje się w odcinku, ale nie o niej nie sły-chać. Zapowiadają też Zoli jeszcze jedną: *Chérie*, która wedle zwyczaju, ukaże się najpierw w piśmie peryodycznem, nim ją w tomie ujrzymy.

Sędziwy Wiktor Hugo, oświadcza się uroczysto—przeciwko wiwisekcji! tak samo, jak przeciw karze śmierci!! Tymczasem okrutne to obchodzenie się ze zwierzętami, niestety—ludziom wielu oszczędza boleści i ratuje ich od śmierci. Tak twierdzą i dowodzą uczeni—i—milczeć potrzeba, choć psów i królików bardzo żal.

Geraldina Calverley

SZKIC Z DZIEJÓW WOJNY O NIEPODLEGŁOŚĆ AMERYKI.

— Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy! — woła surowa wróżka, której stopy są w krwi, a czoło gwiazd sięga — muza historii, zapisująca rylcem swoim tylko te czyny wielkie, które zmieniają losy narodów. Ale każde społeczeństwo ma zawsze w godzinie starć i zapasów krwawych swoją Lilię Wenedę: nieśmiertelnie w ludzkości żyjącego ducha miłości i poświęcenia niewieściego, który zjawia się na poboju między walczącymi i łamiąc ręce, lejąc łzy, zbiera ranne, dźwiga upadłe, broni, osłania, ratuje, a budząc w najtwardszych sercach litość, dopomina się potem przez nią pamięci ludzkiej. Każdy wielki wypadek dziejowy mieści w sobie historie róż biednych, których żałować nie było wtedy czasu, i są to na kamiennych tablicach Clio przypiski drobne, zdolne przecież głęboko wzruszyć serca tych, co się ich doczytają. Historia wyzwolenia się zpod Anglii Stanów Zjednoczonych Ameryki zawiera dwie tragedie losów kobiecych, które do właściwej księgi dziejów nie należąc, są jednak z nią związane, jako epizody poboczne, pojedyncze kropelki z *lacrymae rerum* owych czasów. Geraldina Calverley, żona sławnego partyzanta, człowieka, z którego ręki padł pierwszy strzał, będący hasłem wielkiej pożogi wojennej, znanej w historii pod nazwą wojny o niepodległość Ameryki, jest piękną i przypomnienia godną postacią, w cieniu historii stojącą, z ręką na sercu, którą bicie jego przyciska. Córnica miernego poety, ale uczciwego człowieka, Daniela Hawthorne, urodzona 1757 r. w Stanie Massachusetts, w wiosce Endicot, żyła przez lat osiemnaście tem cichem i spokojnem, a razem poważnem i surowem życiem, które było udziałem kobiet wśród purytańskiego społeczeństwa owych czasów Ameryki, aż nagle wypadki polityczne porwały ją w swój wir okrutny. Pomiedzy starą metropolią, Anglią, a młodemi jej osadami na dziewiczym gruncie Ameryki, głucha walka ścierających się ze sobą interesów toczyła się przez długie lata. Jednej stronie chodziło o supremacyę i niesprawiedliwe wyzyskiwanie kolonii; z drugiej było gorące pragnienie niepodległości, poczucie prawa i sił swoich, a Stan Massachusetts i stolica jego: portowe miasto Boston, były środkowym punktem oporu i głuchego wrzenia, które wybuchnęło nakoniec w 1775 roku.

Pierwszem polem jawnego starcia było błonie, czyli grunt gminny pod Lexington, gdzie milicya amerykańska zmierzyła się z wojskiem angielskim w d. 19 Kwietnia. Angielski generał Gage, gubernator Bostonu, widząc postępy oporu, zachciał, w przewidywaniu przyszłości, zabrać zapasy broni i amunicji, nagromadzone w mieście Concord, (o półtrzeciej mili geograficznej od Bostonu) na potrzeby milicyi amerykańskiej, przeznaczonej do obrony osad przeciw napadom Indian. Ale Stan Massachusetts połączył z tym wojskiem prowincjonalnem organizacyą takzwanych „Minute-men“, to jest ludzi, którzy zaciągnęli się w szeregi milicyi z warunkiem stawienia się pod bronią w minutę po danem na to hasle, i w Concord było przygotowanej broni dla dwunastu tysięcy tych ludzi, po którą chciał teraz sięgnąć dowódca angielski. Wyprawa została urządzoną w tajemnicy; oddział wojska angielskiego miał wyruszyć z Bostonu z braskiem świtu dnia 19 Kwietnia, ale młody patriota amerykański, lekarz z powołania, Józef Warren, powziął o tem niespodziewaną wiadomość w wilią wyprawy. Już ciemnym wieczorem dwóch obywateli bostońskich, powracając z klubu do domu, zobaczyło kilku officerów angielskich, siadających na koń przed koszarami i zdjął ich niepokój, zali nie jest to zapowiedzią spodziewanego aresztowania patryotycznych przewodzców Bostonu: Samuela Adams i Hancock'a? Więc pośpieszono dać znać o tem związanemu z nimi przyjaźnią i kierownictwem sprawy publicznej Warrenowi

i zarazem wieść głucha o czemś, gotującym się w cieniach nocy, rozeszła się po mieście. Dwóch Anglików: lord Percy, adjutant generała Gage i porucznik kawalerii, Fryderyk Digby, zauważyli gromadki ludzi, zbierające się na placu miejskim i choć noc była jasna, księżycowa, podsunęli się ku jednej grupie, aby usłyszeć, że wiadano już o mającym nastąpić o północy wyruszeniu wojska na Concord. Następstwem tego podsłuchiwania było, że generał Gage wydał rozkaz zamknięcia bram miasta. Zamknięcie to nastąpiło przecież zapóźno dla Anglików. Zawarto je o godzinie dziesiątej, a nie tylko Adams'a i Hancock'a nie było już w Bostonie, i w tej chwili zbliżali się oni do Lexington, gdzie zanoowali u miejscowego księdza, ale ktoś inny: poseł wysłany od Warren'a, Paweł Revere, pędził ku Concord, aby nie wydawano broni. Poseł ten puścił się z Bostonu wodą, na łódce małej: puścił się odważnie na fale rzeki Charles River, która w tem miejscu jest szeroka na trzy ćwierci mili angielskiej, ale był to żeglarz dobry i zyskiwał przez ten sposób podróżowania na czasie. Przybywszy do Charlestown, dzielny człowiek pożyczyl konia od dziekana miejscowego, Lorkin, o północy dopadł do Lexington, zbudził śpiących już: Adams'a i Hancock'a, dając im wiadomość, co Anglicy zamierzali rzeczywiście zrobić.

Popędził dalej, a w Bostonie zaczęto bić w dzwony, strzelać z broni ręcznej na *Commons*, to jest placach publicznych, a na szczycie wyniosłej wieży portowej, Old North, wywieszono zapaloną latarnię, dając w ten sposób znać całemu miastu i okolicom, że sprawa publiczna jest zagrożoną. W godzinę potem, druga latarnia: czerwona, zapłonęła z wieży, a to było hasłem, że zgromadzenie *Minute-menów* powinno się zebrać w umówionem poprzednio miejscu, to jest na Charlestown-Neck. Nazajutrz było już tam kilkunastu, a jeszcze nazajutrz kilkadziesiąt, bo dwadzieścia tysięcy ludzi gotowych do boju. Ale to należy już do innej niż nasza historia, i należy tylko tu dodać, że około południa dnia następnego przybył do Bostonu officer służbowy, wysłany z Concord do generała Gage, z żądaniem posiłków dla pułkownika Smith, który uczuł trwogę przed rojącą się w koło niego ciżbą złowrogiego spojżenia. Władze miejskie odmówiły wydania broni, a tak słowa odmowy, jak postawa ludzi były co chwila groźniejsze, przytem już na drodze do Concord spotkano się ze zbrojnym oddziałem Lexingtonskich *Minute-menów*. Było ich tylko 70 ludzi, ale zuchwale zastąpili Anglikom drogę. Major Pitcairn zawezwał rozkazująco, aby ustąpili i złożyli broń; w uniesieniu rzucił wyraz: — Buntownicy!

Wtedy na czoło oddziału wysunął się nagle jeden z jeźdźców, człowiek wysoki, brunet silny, cery blade-śniadej. Oczy jego zmierzyły się z oczyma angielskiego officer'a, ale dowodzący oddziałem, Jonatan Harrington¹⁾, dał rozkaz ustąpienia wojsku z drogi. *Minute-meny* usunęły się w bok i rozproszyli po błoni, ale w chwili tego odwrotu jeden muszkiet został odwiedziony i padł strzał.

Pierwszy to strzał amerykański, wymierzony do „czerwonego munduru“, to jest w pierś Anglii. Strzelił tensam człowiek, którego oczy rozmawiały przed chwilą z oczami Anglika: tensam człowiek z płomieniem nienawiści w czarnych źrenicach pod dumnym czołem. Nazywał się Ralf Calverley, był mieszkańcem Bostonu, gdzie pracował w jakimś kantorze handlowym i znalazł się tu teraz, jak nie jeden z Bostończyków. Był już w wieku lat średnich, przeszło trzydziestoletni, natura była namiętna i rozkazująca, zdawał się być posepnym, ale była to tylko odrębność ducha, niepotrzebującego się wynętrzać i mogącego żyć ze sobą tylko. Teraz rzucił kulę swoją na szale losów ojczyzny, przez uczucie nienawiści, nad którem nie umiał zapanować, czy jednak potrafił on tylko nienawidzić? Gdy Anglicy, odpowiadając na strzał jego, dali do Amerykanów ognia, spadło z konia ośmiu trupów

i kilkunastu rannych, przecież major Pitcairn, znajdując drogę wolną, nie bawił tu dłużej i pociągnął naprzód, ale tuż za nim postępowały główne siły Anglików pod wodzą pułkownika Smitha i już widać ich było — ściane czerwonych mundurów, nie dalej jak na odległość dwóch strzałów, gdy oto samotny jeździec przypadł znówu ponad samą drogę, którą miała zalać wkrótce ta żywa rzeka, a był to raz jeszcze Calverley. Wracal na miejsce utarczki, szukając towarzysza ze swego szeregu, którego brakowało tam teraz; mógł znaleźć tylko trupa, wracał przecież.

Na szczęście nie tak się stało. Człowiek ten, Ebenezer Sumner, żył jeszcze i tylko ciężko przestrzelony leżał na ziemi i Ralf Calverley prawie już pod oczyma nadciągających Anglików, dźwignął go, umieścił na przodzie swego konia i uwiózł ze sobą.

Wojsko powracające z Concord spotkało się znówu pod Lexington z milicyą amerykańską, ale teraz wystąpiło już w większej sile i uderzono inaczej. Wojna to już była, krew już poczęła się lać na prawdę: z obu też stron byli poległi, ranni i jeńcy. Anglicy musieli podać tył i choć posiłki przysłane im przez generała Gage pokryły ich odwrót, *Minute-meny* ścigali ich pod sam Boston prawie, urywając zmęczonego żołnierza to z boku, to z tyłu. Ale nie to stanowiło rzecz najważniejszą — nie to nawet, że przy tem starciu milicyi z wojskiem regularnem, odniosła ona zwycięstwo i święciła tryumf chorągwi swojej. Tryumfem była śmiałość, co się na wielki krok ten porwała!

A cóż człowiek, z którego piersi wypadła iskra zapalna, prąd elektryczny, przebiegający tłumy i wstrząsający niemi? Czy miał powrócić nazajutrz do kantoru swego, aby tak, jak przez lata, które pozostały za nim, skrobał piórem po papierze, stawiając kolumny cyfr w handlowej księdze pryncypała? Fala ta, raz wzburzona, której grzbiet wzdęty sprawił, że łód zatrzęszczała i pękł, rozlewała się po brzegach, bo już zaciasno jej w korycie dawnym i tak bywa z duszą ludzką. Jeden dzień, jedna godzina może przepołowić życie na dwoje i powłoka spokojnej formy, którą Ralf Calverley nosił dotąd na namiętnej swej naturze, już się utrzymać dłużej nie dała. Zwano go posepnym, despotycznym i on na raz zrozumiał siebie — jemu trzeba było czynności, w którejby tworzył sam i dowodził innym, w którejby rozkazywał. Tymczasem też wszystkie Stany Ameryki wzruszyły się; wieść o utarczce pod Lexington miała ten skutek, że na całej przestrzeni osad amerykańskich opanowano wszystkie twierdze, magazyny, arsenały, które wedle dotychczasowego stanu rzeczy, powinny były pozostać w ręku officerów królewskich. Ale przychodziła chwila innego prawa. Kongres w Massachusetts uchwalił pożyczkę na potrzeby ojczyzny, zarządził pobór wojska, zaczęto przytem werbować je na wolną rękę. Boston był silnie obsadzony i trzeba było wyparować z tamtąd Anglików, trzeba go było wziąć dla Amerykanów; kongres jeszcze niby parlamentował, ale forma to już była tylko, kraj znajdował się w stanie wojny i Ralf Calverley zażądał patentu partyzanta: wolnego listu na formowanie pułku kawalerii: Calverley's-Horses.

Świeciło nad nim wspomnienie Lexington, więc młodzież bostońska pogarnęła się do niego i oto w d. 12 Maja, właśnie w chwili, gdy w sadach Nowej Anglii kwitnęły jabłonie, a brzoskwińowe w krzewy poczynają się rozwijać, do Endicot, dużej, tysiąc kilkaset mieszkańców liczącej wsi, w południowej stronie Massachusetts, wędrowny kramarz przynosił wiadomość, że kapitan Calverley ciągnie tu ze szwadronem swojej jazdy i wszystkie serca uderzyły. Był to bohater — bohater szczególnie dla Endicot, bo los zdarzył, że Ebenezer Sumner, był rodem z tej wsi, która miała być miejscem wyrocznem dla życia Ralfa Calverley'a.

Gdy, wyprzedzając szwadron swój zmęczony długim pochodem, wjeżdżał do Endicot sam, tylko w towarzystwie adjutanta, Filipa Honeywood, już późnym wieczorem, wszyscy, co czekali go dotąd daremnie, spali już, tylko przed bramą najpiękniejszego wsi folwarku „Endicot-Farm“, stała pod drzewem jedna postać kobieca. Czy czekała tu wciąż, uparta w pragnieniu ujżenia go? Czy

1) Człowiek ten przeżył całe swoje pokolenie i żył do naszych czasów, do 1854 r.

bezsenna i marząca o nim, usłyszała stapanie koni i wybiegła? ujrzał ją teraz całą w świetle księżyca: wysoką, jak lilia białą, jasnowłosą dziewczę, której koń jego zestrząchał się. On go ściągnął uzdą i zatrzymał się. Miał już lat trzydzieści cztery. Pogrobowy syn niebogatej wdowy, wychowany jej trudem, jej pracą, miał dla niej miłość, uwielbienia dochodzącą, miłość namiętną, jak kochanka dla kochanki, ale jakgdyby wyczerpał już przez to cały swój zapas uczuć tkliwych, nie pokochał już potem nigdy żadnej innej kobiety, a nawet zdawał się czuć pewien wstręt pogardliwy dla niewieściej natury wogóle. Widział w niej coś słabego, coś niższego niżeli w mężczyźnie i stronił od zetknięcia z nią; przecież zatrzymał teraz konia. Czy chciał coś przemówić do niej, a był za dumny na kłamstwo tego nawet rodzaju, aby znając drogę do domu gminy, gdzie miał stać kwaterę—zapytał o nią? czy rzeczywiście usta jego uczuły nagle palące je pragnienie—poprosił dziewczę o wodę.

Przyniosła mu jej natychmiast, wzruszona, drżąca, choć pogodna spokojność należała do cech Geraldiny Hawthorne, wychowanej w ciszy wiejskiego ustronia i w tej wierze purytańskiej, która uczy całkowicie polegać na Bogu. Córka poety miała też w sobie coś poetycznego marzycielstwa, kołyszącego istotę ludzką do łagodnego spokoju serca. Świat idealny, świat ducha, zabierał ją sobie zanadto, aby miała wzruszać się nazbyt żywo dla drobnych względów tego innego, realnego świata materii. Ale teraz było to co innego: cześć bohaterów istniała i w jej wybranym świecie, to też gdy Calverley oddał jej kubek, podziękowawszy za wodę, która była chłodną i smaczną, bo dziewczyna zaczerpnęła jej świeżo ze studni, ona, potrzebująca podzielić się z kimś wrażeniem, doznaniem, przypadła do łóżka matki.—Przyjechałam... widziałam go... bohatera!... zawołała, ale matka, o jedno pokolenie bliższa od niej duchowi owych żelaznych ludzi, co na tym gruncie Nowego Świata rozłożyły pierwsze swe ogniska, odrzekła jej:—Bohater, to ten, co czyni powinność swoją.

Córka miała to sobie przypomnieć potem, potem, po upływie lat.

Zaciąg ochotników do Calverley's Horses został ukończonym we dwa tygodnie. Serca były rozgrzane, dowódzca opromieniony chwałą i młódz okoliczna chwyciła za broń, którą jej podawano. W obozie pod Gayfield naznaczono punkt zborny dla nowotworzących się pułków, gdzie znajdowały one instruktorów przysyłanych w pomoc dowódcy z ramienia Kongressu; przecież R. Calverley zdawał się z czemś ociągać przez dni parę. Sędzia gminy, Jonatan Sweetapple, był mu krewnym przez matkę; czy przecież zatrzymywały go uczucia rodzinne? Na błoniach gminy odbywała się codziennie mustra kawalerzystów, aż jednego rana kapitan Calverley skreślił w bok i jak owej nocy pierwszego tu przybycia zatrzymał się przed Endicot-Farm. I teraz pragnął i teraz chciał ugasić to pragnienie—chciał dostać czystej, świeżej wody życia: miłości pięknej dziewczyny, którą widział kilkakrotnie w domu swego krewnego, ale z którą zamienił ledwo słów kilka. Ojciec, sparaliżowany oddawna, był chory i na spotkanie gościa wyszła matka, ale on, na jej zadziwienie najwyższe, zażądał widzenia się z córką.—Zechciej Waszmość panna pójść ze mną do ogrodu—rzekł jej językiem owego czasu i nie czekając na odpowiedź, wywiódł zmieszaną pod cień drzew rozległego sadu. Było to wspaniale i cicho, pszczoły tylko brzęczały nad grzędami lawendy i innych ziół aromatycznych, które w owym czasie uprawiano dla ich leczniczego działania, a jemu wzruszyło się serce miękkością nieznaną.

—Pszczółka tak małą jest, a tak wiele słodczy zgromadzić może—rzekł słowami przypowieści Salomonowej i wyznał miłość swoją Geraldinie.

—Pokochałam waszmość pannę pierwszego dnia i za pierwszym na nią spojrzeniem—rzekł jej, a ona stała zmieszana znowu, i drżąca. On!... on! bohater jej snów, on kocha ją... Nie miała siły odpowiedzieć, nie miała siły nawet podnieść oczu, które by wydały jej tajemnicę, a jego dumna, wyniosła natura poczęła już burzyć się.—Czy waszmość panna możesz mi być wzajemną?—począł nalega-

jąco, rozkazująco, a ona rozpląkała się, ale zarazem wyciągnęła do niego ręce, które on pochwycił—obie jej ręce, a raczej rączki malutkie pochwycił i ścisnął w swoich, aż nagle porwał ją, jak orzeł gołąbkę, i na ustach dziewczęcych, których przy purytańskim wychowaniu nie tknęły nigdy nawet usta matki i ledwo że musnęła kiedy pie-szczota wietrzyka, wycisnął namiętny, palący pocałunek kochanka.

Tymczasem matka, zaniepokojona o córkę, nie pojmując jaki interes może mieć do niej kapitan Calverley, wyszła do ogrodu, aby niespodziewanie zobaczyć widok, który byłby jej wydarł z ust taki krzyk przestachu, jak wobec napadu zbójców, gdyby naraz nie ujrzała Geraldiny tulącej się do piersi Calverleya. A znać usta jej wyszeptwały przy tem wyraz jakiś bardzo słodki, bo oto stojąca poza drzewami matrona, zobaczyła z kolei coś jeszcze więcej ją zadziwiającego: kapitan Calverley kłękł i zaczął całować kraj sukni Geraldiny...

Ten twardy, ten posępny, milczący zwykle człowiek, który dotąd nie kochał żadnej kobiety, prócz matki swej starej, który miał na ustach tylko uśmiech szyderczy widząc innych zakochanymi—ten całował teraz rąbek muslinowej sukni dziewczyny!

Matka przelekła się tej namiętości gwałtownej, tej nagłości uczucia, które spadało na jej dziecko jedyne bez przygotowania żadnego, sposobem gromu.—Co ona odpowie kapitanowi Calverley? Geraldina była zapełniona zaleknioną i nie wiedziała, co czyni... Tulila się do piersi gwałtownika z przestachu, ale ona—ona matka, nie da się tak ubezwładnić! Kokosz broni pisklęta swoje, pliszka małeńka rozpościera skrzydła nad gniazdkiem, i ona stanie mocno...

Ale nie miała sposobności tego uczynić, bo Ralf Calverley nie przyszedł prosić matki o rękę córki. Ogród, otoczony murem kamiennym, wychodził jedną stroną swoją na drogę publiczną i nagle ozwał się na niej głos trąbki, na który Ralf Calverley dągnął i wyprostowany, znów poważny, z brwią, która mu się naraz zciągnęła słuchał.—Posłaniec z obozu!—zawołał nakoniec.—Rozkaz z Bostonu...

Geraldina patrzyła na niego, nie przeleknięta, jak powiedziałaby jej matka, ale z uszanowaniem milczącą, a on wziął nagle jej rękę, lecz już w sposób inny niż przed chwilą.—Z własnej i wzajemnej woli zaręczyliśmy ze sobą serca nasze—rzekł jej poważnie, uroczyście—Ja przyrzekam ci stałość i niezmienną miłość mego i żądam od ciebie podobnie stałości i niezmienności. Żołnierz jestem i idę gdzie mi każą—czy mi przyrzekasz, o co proszę?...

—Przyrzekam—odpowiedziała Geraldina, a głos jej cichy, był tak słodki, jej spojrzenie tak tkliwe i tak już pokornie uległe, że Calverley zmieniał się znowu.—Niech cię Bóg błogosławi, najszlachetniejsza moja!—zawołał z twarzą rozjaśnioną tkliwie, ale trąbka ozwała się znowu, teraz już tuż pod murem ogrodu, i on co prędzej pośpieszył ku domowi, na którego progu spotkał matkę Geraldiny.—Pani—rzekł zatrzymując się nagle, córka twoja dała mi słowo, że będzie moją i wzięła podobne odemnie. Obowiązki odwołują mnie stąd, ale powrócę wkrótce, lub wezmę narzeczoną moją, aby przybyła do mnie. Zostawiam ci ją pani pod strażą troskliwej twej opieki. Dam o sobie wiedzieć niedługo...

Schylił się i pocałował rękę zmieszanej, zadziwionej i przelekłej kobiety. Czy on prosił, czy on raczej nie mówił jak człowiek, który rozkazuje? W okamgnieniu już go nie było; wsiadł na konia, który przywiązany przed domem skubał trawę, puszczającą się koło muru i dał się zaraz słyszeć tentent pełnego klusa. Matka, jak ze snu obudzona, obróciła teraz wzrok na córkę, a ona przypadła jej do kolan.—Matko, kocham go i pójdę za nim na kraj świata—zawołała.

—Kochasz go?... Kiedy, jak pokochać mogłaś?

—Kocham—odpowiedziała dziewczyna, podnosząc na matkę duże, siwe oczy, patrzące teraz z powagą i spokojem, który byłby dziwnym w takiej chwili dla kogoś, co nie wie, iż rzecz wszelką głęboko uczuć, i nie cofnięcie postanowiona, póki przynosi.—Pokochałam znać za sprawą

Ducha Świętego. Ralf Calverley jest już obranym oblubieńcem moim i panem.—Zaręczyliśmy się ze sobą...

Teraz rumieniec przeszedł po licu dziewczęcy, bo przypomniła sobie, że nie pierścione to, ale pocałunek wzięty i dany, związał ich dwoje i uczynił należącymi do siebie nawzajem.

Posłaniec przybywający do Endicot był z Gayfield i przywiózł rzeczywiście rozkazy z Bostonu wyszłe. Trzeba było gromadzić i ćwiczyć co prędzej nowo-zaciężne hufce. Twierdze i forty były dotąd odbierane Anglikom w imię *Wielkiego Lorda Jehowy*, ale teraz miało już wystąpić głośno imię narodu amerykańskiego, amerykańskiej ojczyzny: kongres wszystkich zjednoczonych Stanów miał się za dni kilka zebrać w Filadelfi. Obłężenie Bostonu było już postanowionem przez Adamsa i Hancocka, więc ślali rozkazy do dowódców, aby siły ścigały się i jednoczyły w punkcie obranym, więc też w dwie godziny potem, batalion konnicy kapitana Calverley, opuścił Endicot. Ludność wyległa patrzeć za odjeżdżającymi, a Geraldina Hawthorne, słuchająca u muru ogrodu dźwięku trąb oddalających się coraz, coraz dalej, powtórzyła sobie samej słowa powiedziane matce:—Pójdę za nim na kraj świata.

A spotkała niebogę w dni kilka rzecz okrutna: umarł jej ojciec, tkliwie, gorąco kochany. Od lat kilku nie chodził już, sparaliżowany, i Geraldina przepędzała z nim większą część dnia. Żona musiała gospodarować, ale córka była ciągle przy nim, jej to dyktował poezje swoje, układane wśród chwil samotności, lub nocy bezsennych, ona mu czytywała książki i dzienniki i to może wpłynęło na wyrobienie się ducha dziewczyny razem poważne i exaltowane. Tak się żyła z myślami ojca, że była z nim razem poetką i wiele najtkliwszych poezji Daniela Hawthorne'a, pisanych w ostatnich jego latach, przypisują córce, a przynajmniej uważają je za wspólnie z nią tworzone. Cierpienia nie dały poecie dokończyć tego, co pod wpływem tych cierpień tworzyć zaczynał i córka spisując te urywki, dokończała ich potem, albo razem z nim, albo sama już imieściła w zeszytach, które w wiele lat potem poszły do druku z dowodem że były własnoręcznego jej pisma. I ten-to ojciec, zajmujący tak wielkie miejsce w życiu córki, umarł teraz, rzucając żalobę na jej miłość młodą, a ledwie przyciszył się pierwszy, serce rozrywający żal,—gdy nagle odebrała od narzeczonego list, przesłany jej z obozu Gayfield za pośrednictwem sędziego Sweetapple. Był-to list jego pierwszy i jaki... Kongres zgromadził się dnia 10 Czerwca; a 15-go Czerwca wydał odezwę do narodu i zarazem mianował naczelnego wodza wojsk Zjednoczonych Stanów Ameryki: Jerzego Waszyngtona, co znaczyło: że wybiła już godzina wielkiego na całej linii działania, że wojna wybuchała całym swym płomieniem. Ściągano wszystkie siły pod Boston, Calverley miał tam prowadzić swoją konnicę i przed wyruszeniem w pole, wzywał Geraldinę, aby przybywała. „Porzucisz ojca i matkę...“; pisał jej słowami Pisma Św., a ona nie powiedziała: Nie!... Żona sędziego Sweetapple, Miriam, kobieta cnót ewangelicznych, jak większość jej współwyznawców, ofiarowała się jechać z nią do Gayfield, gdzie za dni kilka Geraldina uklekała przed ołtarzem i przysięgła Ralfowi Calverley miłość, wierność i posłuszeństwo—aż do śmierci!

Sierota w świeżej żalobie, dziewczyna dziewiętnastoletnia bez przytomności świata! Nie było wesela, wyprawy, družek, kwiatów, wieńców weselnych—nie było nic, co otacza akt ślubu poezją i daje mu słodczy niezapomnianą: nie było tego nic! Orzeł porwał gołąbkę!

Geraldina, przybywszy, została powitana przez narzeczonego przed bramami miasta. Wyjechał naprzeciw niej i czekał niespokojnie, niecierpliwie, pochmurny; z brwią zmarszczoną, gdy przecież ujrzał powóz zbliżający się, gdy piękna, wdzięczna twarz dziewczyny wyjrzała do niego, zdawało się, że jakiś cudowny promień słońca rozświecał mu świat. Rozjaśnił się, rozradował, miękł pod wzrokiem ukochanej kobiety, jak wosk przed ogniem, stał się cały słodczy, aż ciotka Miriam żartowała z niego. Pozwalał na to. Pomieszkanie, które dla nich przygotował, było

w pobliżu obozu, z widokiem na niego z ganku, na który wprowadził niedługo Geraldine, aby być z nią sam. Dziękował jej tkliwie, że przybyła, mówił do niej słowami poety nie żołnierza, jak jej miłość była dla niego światem, całym, szczęściem najwyższem i delikatnie, delikatnie powiedział jej, że musi zostać wkrótce jego żoną. Dziewczyna się zestrząchała, on szeptem natychmiast, jak chmurna noc zimowa, ale prędko zdołał się powstrzymać. — Kocham cię nad wszystko, co jest w świecie — zawołał namiętnie — jedyną na ziemi istotę... i ona, rozczulona, powtórzyła mu to, co powiedziała niegdyś matce i sobie: — Pójdę za tobą na kraj świata. To ich pogodziło natychmiast; kląkł znowu przed nią, ale już teraz nie całował jak niegdyś, jej sukni, lecz okrywał jej ręce i nogi pocałunkami, przecież nazajutrz, nie znalazł sobie ani jednej chwili wolnej do zobaczenia jej. Adjutant jego i przyjaciel, Filip Honeywood przybył tylko od niego z pozdrowieniem ukochanej, lecz ten pozostawszy nieco dłużej, opowiadał jak kapitan Calverley poświęcony jest sprawie publicznej, jak od rana do świtu na koniu, mustruje żołnierzy i urabia ich na bohaterów mowami swojemi. To też gmin prosty uwielbiał go, officerowie szanowali wysoce i Honeywood zdradził przed narzeczoną wodza tajemnicę, przygotowującej się dla niego owacy. Milicje zgromadzone w Gayfield miały mu ofiarować dziś po południu szablę honorową. Pierwszemu człowiekowi, który zerwał jawnie jarzmo Anglii, należała się cześć narodowa i dziś miała mu być oddana przez współtowarzyszy jego. Geraldina płakała z radości, jednak mimo to powiedziała do ciotki Miriam, że bez błogosławieństwa matki nie pójdzie przed ołtarz. Płakała znów biedna, ale teraz smutnymi łzami sieroty. Nie... żałobna szata nie da się zamienić na weselną; ona będzie ukochanemu wierna duszą i ciałem, ale nie może ślubować mu, gdy trawa nie porosła jeszcze na grobie jej ojca, gdy oczy jej matki nie obsychają jeszcze z łez wdowich. Nie — ona tego nie zrobi.

(Dalszy ciąg nastąpi).

O PIELĘGNOWANIU CHORYCH.

(Dalszy ciąg — Ob. Nr 4).

„Jedynie tylko doświadczone dozorkynie i ludzie, którzy sami przeszli szkołę leżenia w łóżku, potrafią ocenić tę przykrość, na jaką wystawione są nerwy i zmysły chorego, w skutek tego, że zmuszony pozostawać przez dłuższy czas w jednym lub dwóch pokojach, widzi przed sobą ciągle te same cztery ściany, ten sam sufit, to samo otoczenie.“

„Nie zapomnę nigdy tej radości, jaką dostrzegałam zawsze, na twarzach takich chorych, pod wpływem widoku barwnych i żywych kwiatów. Z własnego doświadczenia przypominam sobie, że otrzymawszy w chorobie bukiet polnych kwiatów, czułam, jak od razu zdrowie powracać mi zaczęło. Dla samego chorego jest to również przykre, jak niepojęte postrzeżenie, iż daleko łatwiej podlega smutnym myślom aniżeli wesołym, i mimo usilnego starania nie może pozbyć się nieprzyjemnych wyobrażeń. Chory zarówno nie może poruszać złamaną nogą, jak i nie jest w stanie zmienić myśli, jeżeli przez urozmaicenie nie przyjdziemy mu w pomoc. Ta nieruchomość umysłu sama przez się należy do głównych przypadłości choroby wewnętrznej, tak samo jak niemożność poruszania złamanego członka.“

„Nie dosyć więc starać się przy łóżku chorego o wygodne jedzenie i picie. Trzeba także pamiętać o moralnem (uczuciowem) życiu chorego, starając się dlań o przyjemny widok, dostarczając pięknych kwiatów i innych ładnych rzeczy. Samo światło już wiele w tym kierunku działa, zdaje mi się przynajmniej, że istniejące w wielu chorych pragnienie dnia, polega na pragnieniu światła w ogólności, albowiem możność dostrzegania rozmaitych przedmiotów, rozbudza na nowo znękaną, cierpiącą umysł.“

„Należy dalej pamiętać, że każdy człowiek zdrowy przyzwyczajony jest do ręcznej roboty, z wyjątkiem niektórych wielkich dam, których układ nerwowy nie jest lepiej uposażony, niż u chorych. Ponieważ sami nie wiemy jaką rozrywkę dla nas stanowi taka ręczna robótka, przeto także mało na to zwracamy uwagę, że niektórzy pacjenci powracający do zdrowia, cierpią na brak takiej rozrywki.“

„Większa część osłabionych chorych nie jest w stanie przyjmować przed jedenastą stałego pokarmu, nawet wtenczas, gdy wskutek niejedzenia siły ich są wyczerpane; wszelako łyżka rosółu, mleka, zupy z jajami, podawana co godzina, uchroniłaby chorych od głodu, przygotowując zarazem ich przewód pokarmowy do przyjmowania stałych pokarmów.“

„Jeżeli osoba dozorcująca ma polecone podawać choremu co trzy godziny filiżankę rosółu, a łyżdek chorego nie znosi pożywienia w takiej ilości, wówczas trzeba próbować dawać po łyżce co godzina, a jeżeli i to nie jest możliwe, w takim razie co kwadrans łyżeczkę od kawy.“

„Osłabieni chorzy częstokroć nie mogą połykać tylko z powodu osłabienia nerwów, które to osłabienie wzmaga się coraz bardziej z wystawieniem sił chorego na próbę. Skoro więc chory nie dostanie jedzenia w danej chwili, zwłaszcza gdy jest wolny od innych zajęć, wtenczas zdarzyć się może, że nie będzie wstanie połknąć pożywienia, nie tylko chwilowo, lecz także w przeciagu kilku następnych godzin. Zwłaszcza w przewlekłych (chronicznych) chorobach zależy na tem, aby dokładnie oznaczyć godzinę, w której chory jeść może, a także godziny, w których czuje się najsłabszym, pamiętając, że jedno i drugie zmienić się może z dnia na dzień. Potrzeba do tego daru spostrzegawczego, przezorności i wytrwałości, które to zalety posiadać powinna każda dozorcująca chorych, a wykształcenie to więcej chorym korzyści przyniesie, niżby zdawać się mogło.“

„Jednym z najczęstszych skutków wygłodzenia jest bezsenność, gdyż zwykle chorzy śpią w tym stosunku, jak przyjmują pokarm. Zwyczaj dosyć praktykowany, który chorym może w zupełności obrzydzić jado, polega na tem, że potrawy nie ruszone przez chorego, stawiają przy łóżku, aż sam jedzenia zażąda; jest to sposób, który może wstąpić w chorym wyrobić do wszelkiego posiłku. Jedzenie powinno być przynoszone we właściwym czasie i również we właściwym czasie uprzątnęte, bez względu na to, czy chory jadł czy też nie, nie należy nigdy dla chorego zostawiać „na później“, gdyż w ten sposób obrzydza mu się jedzenie, tego samego dopiąć można przez kosztowanie i ostudzenie potraw w jego obecności.“

„Pewną jest rzeczą, że chory tem prędzej załatwi się z jedzeniem, im mniej przeszkadzać mu będą osoby otaczające, w razie, gdy się pacjenta karmi, dozorkyni nie powinna mu wiele mówić, również nie zwracać do niego mowy, a przede wszystkim nie mówić o jedzeniu.“

„Nie należy nigdy wylewać na spodek, który powinien być zawsze czysty i suchy. Pamiętać trzeba, że bardzo nieprzyjemnem jest dla chorego, gdy zbliżając filiżankę do ust, musi zarazem podnosić spodek, aby nie powalać odzieży i pościeli.“

Chorym prawie zawsze przepisują się *lekarstwa*, których *umiejętne podawanie*, to jest we właściwej dozie, w oznaczonym czasie i w odpowiednim naczyniu, wcale niepodrzedną odgrywa rolę.

Najczęstszą postacią w jakiej lekarze przepisują lekarstwa są: płyny, proszki i pigułki, nie należy to bynajmniej od fantazyi lekarza, lecz od choroby i samego lekarstwa. W pewnych cierpieniach tylko płyny np. mogą być przyjmowane, w innych zaś proszki lub pigułki; kiedyindziej znowu lekarstwo, z powodu nierozpuszczalności w płynach, albo też skutkiem przykrego smaku lub zapachu, może być jedynie w formie stałej, to jest w postaci proszków lub pigulek przyjmowanem.

Płynne lekarstwa podawane są zwykle w dozach odpowiadających łyżce stołowej, łyżeczce od kawy, albo nareszcie *kroplami*. Ponieważ łyżki i łyżeczki niezawsze są jednakowej wielkości, a potem przy podawaniu najostrożniejszem, pe-

wna część lekarstwa może być rozlaną, pożądaną bardzo byłoby rzeczą, aby podawanie lekarstwa odbywało się za pośrednictwem szklanego naczynia, na którem powinno być zrobione wyłobienie, odpowiadające dozom. Krople podawać należy na cukrze, albo też powinny być puszczone w naczynie zawierające wodę; skutecznieć to trzeba, dla dokładnego wydzielenia dozy zapomocą *kroplomierza*. Jest to rurka szklana zakończona małym otworkiem, a z drugiego końca umieszczoną jest błonka kauczukowa, zapomocą naciskania której, płyn żądany może być wciągnięty, a następnie w postaci jednakowej wielkości kropeł wydzielany. Nie wszystkie lekarstwa mogą być podawane na srebrnej łyżce, w takim razie należy mieć szklaną lub porcelanową.

Nierzadko zdarza się, iż lekarz pozostawia choremu lub osobom otaczającym, przygotowanie pewnych środków lekarskich, ma to np. często miejsce z *ziołkami*. Chcąc je przygotować do picia, t. j. zrobić z nich odwar, należy tak postąpić jak z herbatą: bierze się łyżeczkę z czubem na filiżankę lub szklanę wrzącej wody, następnie pozostawia się w ciepłym miejscu, albo nawet przy ogniu, przez kwadrans albo pół godziny, uważać jednak należy, aby w tym ostatnim razie nie zagotowały się, odciedzić przez sitko lub kawałek czystego płótna i podać choremu. Jeżeli lekarstwo jest przykrego smaku, daje się dla popicia nieco wody, albo też dla wypłukania ust, i wtedy dodać mażna małą ilość koniaku, wódki lub esencji miętowej. Gdyby chory lekarstwo oddał, należy lekarza bezzwłocznie zawiadomić.

Niektóre środki jak żelazo, kwasy, mają jakoby psuć zęby, dlatego przy podawaniu ich, wypada łyżeczkę wsunąć poza język tak, aby nie przyszyły w zetknięcie z zębami; można je także przyjmować zapomocą rurki. Należy lekarza zapytać: czy lekarstwo winno być podawanem na czczo łyżadek czy też po jedzeniu, niektóre środki jak np. żelazo, arsenik i inne, mające własność drażnienia błony śluzowej łyżadka, znoszone tylko bywają po poprzednim przyjęciu pokarmów. Budzenie chorego dla podania lekarstwa, zdarza się tylko wyjątkowo, np. przy chorobach gorączkowych, i nie powinno się odbywać nigdy bez wiedzy lekarza.

Proszki przepiszywanemi bywają w podzielonych dozach, które wprost można przyjmować, albo też w większych ilościach, i w takim razie wypada według polecenia lekarza takową w domu odmierzyć lub odważyć. Zwykle bierze się łyżeczkę od kawy, łyżeczkę z czubem, szczyptę, na koniec noża. Proszki mogą być wysypane na język i popite, albo przedtem rozpuszczone w naczyniu z wodą, albo nareszcie zawinięte w opłatek. To ostatnie skutecznieć się w następujący sposób: opłatek należy położyć na spodku lub na dłoni, zwilżyć zimną wodą, oznaczoną ilość proszku wysypać, oile możności na sam środek, a następnie ostrożnie zawinąć, włożyć choremu w usta jaknajgłębiej i dać popić.

Dzisiaj zazwyczaj lekarze zapisują proszki w opłatku Limousin'a, tak że wypada takowy tylko umoczyć w wodzie i połknąć, oszczędza się w ten sposób choremu wiele przykrości, szczególniej substancje takie, jak china, rabarbar, magnezja i t. p., które przyjemnym smakiem wcale poszczycić się nie mogą, powinny być w ten sposób zapisywane. Nie rzadko zdarza się, że chorzy nie umieją połykać opłatków, ma to szczególnie miejsce u dzieci, wtedy można bez szkody, zlagodzić smak zapomocą soków np. malinowego, poziomkowego, albo zmieszać z konfiturami.

Proszki burzące składają się zwykle z dwóch części: sody i kwasu. Dobrze jest każdą część oddzielnie rozpuścić w pół szklance zimnej wody, a następnie zmieszawszy — prędko wypić.

Bardzo wiele osób nie jest w stanie połykać pigulek; ułatwić to można, umieszczając pigułkę daleko, na tylnej części języka i popić wodą.¹⁾

Lekarstwa na wymioty, bądź to w płynie lub w proszkach, bywają podawane co kwadrans albo

1) Gdyby i tym sposobem nie udało się, można oznaczoną ilość pigulek zawinąć w opłatek, co znakomicie ułatwia połykanie.

nawet co 10 minut, w przerwach dobrze jest podawać rumianek albo lekką herbatę, w ten sposób ułatwia się wymiotowanie, wczasie samego aktu przytrzymanie głowy w okolicy czoła i potylicy, bardzo przyjemnem jest dla chorych.

Okłady, jakich często używamy przy stłuczeniach, ranach i t. p., wykonywa się w ten sposób: kawałek płótna składa się w ośmioro, następnie macza się w przepisanem lekarstwie, najczęściej w wodzie Gularдовой, zlekka wyciska i okłada się żądane miejsce. Baczyć należy, aby kompres taki wystawał przynajmniej na 4 cent. z każdej strony stłuczonego miejsca albo rany, a także aby nie zamoczyć pościeli, temu ostatniemu zapobiedz najlepiej zapomocą tak zwanego papieru gutaperkowego, który powinien także na cztery centymetry wystawać za kompres.

Pendzlowania najczęściej robi się z tynktury jodowej, powszechnie nazwanej jodyną. Uskutecznia się to za pośrednictwem pendzla i powinno być tak długo powtarzanem, dopóki skóra nie zbrunatnieje. Najlepiej robić pendzlowanie takie, przy dłuższej potrzebie, przez trzy dni, zwykle wieczorem, następnie przez trzy dni spażować i znowu przez trzy dni pendzlować i t. d.; w ten sposób można przez dłuższy czas, w jednym miejscu aplikować jodynę, bez znacznego uszkodzenia skóry.¹⁾

Pendzlowania kolloidionem są bardzo pożyteczne w tych razach, gdzie idzie o pokrycie pewnych części i uczynienie ich nieprzystępnymi dla mogących się dostać obcych ciał, a także dla wywarcia ucisku. Trzeba ostrożnie się z nim obchodzić przy świetle, łatwo się bowiem zapala.

Pendzlowanie błon śluzowych, szczególnie gardła, uskutecznia się za pomocą pendzelków umocowanych na długich rączkach, w braku takowego, można do pręcika drewnianego umocować kawałek szarpi albo też gąbki, umaczać w płynie i posmarować żądane miejsca. Uskutecznić to należy szybko i śmiało, długie zatrzymywanie a także bardzo lekkie pociągnięcia, drażnią błonę śluzową i wywołują takzwane ruchy zwrotne (reflexyjne) to jest krztuszenie się i kaszel; czasami przychodzi do wymiotów.

Pendzlowanie błony śluzowej, ust i gardzieli przy dyfterytycznem zapaleniu, wymaga specjalnych środków ostrożności, które odnoszą się zarówno chorego jak i osoby wykonywającej tę przykrą i niebezpieczną czynność. Uważać należy, aby pendzlem nie przyciskać tak silnie, aby takowe wywołać mogło krwawienie, a następnie, jeżeli lekarz przepisał bardzo gryzący środek, aby pendzel nie był zanedo mokrym, i aby temsamem część drażniącego lekarstwa nie dostała się do tchawicy; przy niezachowaniu tych ostrożności, można jeszcze pogorszyć stan, i tak już niebezpieczny. Wykonywający pendzlowanie, strzedz się powinien, aby mu cząstki nalotu znajdujące się w jamie ustnej chorego, nie dostały się na usta lub w oko; gdyby to nastąpiło, należy natychmiast przepłukać roztworem kwasu salicylowego albo chlorku potassu. Płukanie to jako środek przerwatyczny u dozorujących chorych na dyfteryt, bardzo jest pożądanem. Pendzel powinien być za każdym razem przemylany w gorącej wodzie z domieszką spirytusu.

Wcierania maści uskutecznia się zapomocą kawałka flaneli, zwiniętego kulisto; jeżeli przytem jest zapalenie, należy czynność tę wykonywać pomalą, aby skóry nie rozdrażniać. Jeżeli mamy wetrzeć rzadką tłustość, tak zwane linimenta al-

bo spirytusy, wtedy należy wcierać silnie, dopóki skóra się nie zaczerwieni.

Plastry gorczycowe przykładają się zwykle na tak długo, dopóki nie wywołają silnego pieczenia skóry, poczem należy je zdjąć i zaczerwienione miejsce obmyć ciepłą wodą¹⁾. Jeżeli idzie o wywołanie pryszczy, wtedy przykładają się wezykatoryą czyli plaster kantarydowy. Należy go silnie zapomocą plastra przymocować i pozostawić na 8 do 10 godzin; można to uskutecznić wieczorem, ból bowiem nie jest tak wielki, aby mógł bezsenność noc spowodować; następnie pęcherze igłą przekłuć, płyn wycisnąć i położyć kawałek płótna posmarowany maścią cynkową.

(Dalszy ciąg nastąpi).

DROBNE LISTKI.

Wernyhora, świeżo ukończony obraz Matejki, budzi we wszystkich, którzy go widzieli—uwielbienie. Wysoki na 290, długi 204 centymetrów: przedstawia krajobraz ukraiński:—jest noc, księżyc wzbija się na niebo, wyniosła postać siedzącego na mogile starca rysuje się na tem tle spokojnie uroczystem, mając nimbę łuny księżycowej ponad głową. To prorok, to Wernyhora! Koźuch opadł z niego aż na kolana, na piersi rozkrytej krzyż, u nóg leży mu lira, a on prorokuje! Piękny junak ukraiński podtrzymuje go; młodyca bardzo szlachetnego profilu, wzruszona, przeżona, pełna trwogi, słucha, pochylona ku niemu. Słucha podobnie chłopię kozackie i dziewczyna z polnemi kwiatami we włosach. Pośepny, dzikiego wejrzenia hajdamak, stoi na boku z samopałem; dołem siedzi barczysty, olbrzymiej budowy mnich, groźnej, fantastycznej twarzy. Starosta Kaniowski, Suchodolski, spisuje w wielką księgę prorocstwo starca; obok niego pacholę szlachectwie, niby giermek, trzyma rycerski ryngraf z Matką Boską. Górą nad tem wszystkim unosi się wróżba nieszczęścia—nietoperze; wrażenie obrazu wspaniałe, imponujące. (m)

Najnowszy romans Feuilleta "Wdowa", który zamieszczony w *Revue de deux mondes*, a który i u nas już znalazł tłómacza i drukowany już został w *Gazecie Polskiej*, zwrócił znów w Paryżu, uwagę na tego lubionego przez czytającą publiczność powieściopisarza. Dzienniki podają różne szczegóły jego prywatnego życia, i anegdoty z jego literackiej kariery. Autor „Pana de Camors“ jest zarówno uosobieniem elegancji i wykintu w obejściu, jak w stylu. Unikający rozgłosu, długo mieszkał na prowincyi, w rodzinnem swem miasteczku Saint-Lö, i dopiero niedawno, dla wychowania dzieci przeniósł się do Paryża. Tutaj zajmuje przy ulicy de Tournon obszerny apartament, w którym z religijnem prawie poszanowaniem zgromadził wszystkie zabytki po swoich przodkach: obrazy, brzozy, marmury, piękne stare porcelany. Taki talent, jak Feuilleta, nie mógł sobie znaleźć odpowiedniejszego, bardziej uroczego gniazdka, niż to jego zacisze domowe, w którym na każdym kroku znać delikatną kobiecą rękę i subtelny smak estetyczny. To też jeden z jego biografów bardzo trafnie powiedział: „Żeby mieć tę delikatność rysunku, połączoną z taką nerwową siłą, te kryształowe wibracje uczuć, ten takt i ten smak wyszukany, potrzeba mieć ukochane domowe ognisko, żonę wyższą umysłem i drogą sercu, i dzieci, którym się chce przekazać sławne imię“.

Wiedeński pejzażysta, professor Görtz, od pe-

wnego czasu wziął sobie za zadanie przywrócić znowu popularność malowidłom napoczekaniu. Nie maluje on jak Signor Carlo i inni, całego obrazu wciągu piętnastu minut, ale jest wstanie wykonać przez dwie godziny i przed oczyma publiczności, obraz odpowiadający wszelkim wymaganiom sztuki. Ma on wkrótce wystąpić z szeregiem takich artystycznych posiedzeń, i malować na zadany przez kogoś z obecnych temat.

Helena von Engelhardt, młoda, niemiecka poetka, która swoją „Zorzą poranną“, objawiła nieposledni talent, wydała nową książkę, usprawiedliwiającą w zupełności oczekiwania krytyki. Tytuł jej brzmi trochę dziko, zwłaszcza przy kobiecym nazwisku: „Weinalbum“. Niema jednak w tym *Winnym albumie* żadnych wyskoków bachicznej muzy, a jeśli czemkolwiek przypominają napój boskiego Dionizosa, to niby mussującą pianą młodzieńczej, czystej wesołości i słodyczą kobiecego uczucia.

Trucizna w mandarynkach. Kobiety zajęte w fabrykach olejków wonnych skrobaniem skórek pomarańcz, zwanych mandarynkami, muszą przebywać całemi dniami w atmosferze przesyconej olejkiem, tryskającym obficie ze skórek podczas tej czynności. Skutkiem oddychania takim powietrzem objawiają się u robotnic najprzód rozmaite przypadłości nerwowe (ból głowy, zawrót, pewien rodzaj upojenia), potem zaburzenie w przewodzie pokarmowym, a nakoniec zapalne choroby skóry. Podobne objawy zauważono u robotników, mających do czynienia z wanilią.

Chów krokodyli. Któżby uwierzył, iż krokodyle stają się zwierzętami chodowanemi, tak jak: woły, konie, ryby, pszczoły i t. p.? A jednak obfitujące w niespodzianki czasy nasze i to dziwne zjawisko urzeczywistniły. Wprawdzie jeszcze ani parobek ani dziewczucha nie zapędzają miłych zwierzątek z Nilu do obory, ale już rozciągnięto opiekę nad małemi krokodylami amerykańskimi, aligatorami: opiekę mniejwięcej taką, jaką rozciągamy nad rybami lub nad zwierzętami w parkach trzymanemi. Bo i z krokodyliów przemysł nowoczesny umiał wyciągnąć korzyść, zastosowawszy ich mocną i piękną skórę do wyrobu waliz, portmonetek, cygar i t. d. Popyt, jak powiadają kupcy, na tę skórę był tak wielki, że powstało mnóstwo kompanii myśliwskich, które do tego stopnia trzeba było alligatory w Mississipi, że zapanowała obawa, aby te, za szkodliwe dotychczas uważane, zwierzęta, nie zostały zupełnie wytępione. W takim stanie rzeczy, pomysłało o zabezpieczeniu ich bytu i jakiś przemysłowy Amerykanin zaproponował władzom właściwym, oddanie ich w dzierżawę. Podzielono tedy rzekę na pojedyncze działy, które oddano do eksploatacji specjalnym przemysłowcom. Dzierżawca taki traktuje krokodyle jako użyteczną zwierzyńnię i prowadzi pewien rodzaj hodowli naturalnej, bijąc je tylko w pewnych porach roku i zostawiając czas na wyłęg i wyrośnięcie młodych. Nadto, choć nie bardzo myśli o zaopatrywaniu ich w pokarm, jednakże, oile można, dostarcza im pożywienia, rzucając na pastwę wszelką padlinę, oraz mięso zabitych krokodyli, które pozostali przy życiu „bliźni“ z wielkim apetytem pożerają. Chodowla aligatorów jest bardzo korzystną, gdyż wydatek na ich utrzymanie, jak widzimy, nie jest wielki, a obfitość zwierząt tak jeszcze jest znaczna, że niektórzy dzierżawcy otrzymują do 5,000 skór rocznie.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 6-ty, tomu II-go powieści pod tyt.: **Widmo szczęścia**.

1) Jeżeli wypadła jodynować skórę twarzy albo rąk, w takim razie niecie się można do takzwanej odbarwionej, działanie jej jest jednakże, o wiele słabsze. Skutkiem tego dobrze jest uskutecznić pendzlowanie wieczorem, a nazajutrz zmywać amonią gryzącą (Liquor ammonii caustici), która ma własność zupełnego odbarwienia tynktury jodowej.

(Przyp. sprawozd.).

1) Najlepszym jest powszechnie znany papier Rigollot.

TREŚĆ. Samouctwo przez Floryana Łagowskiego. — Król Agis, dramat, (dalszy ciąg), przez Juliusza Słowackiego. — Któs, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Nowiny paryżkie. — Romantyzm we Francyi, (dalszy ciąg), przez Edwarda Lubowskiego. — Listy z zagranicy, przez J. I. Kraszewskiego. — Geraldina Carverley, przez M. I. — O pielęgnowaniu chorych, (dalszy ciąg), przez Dr Starkmana. — **Drobne listki.**

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 8 Февраля 1884 года.